Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

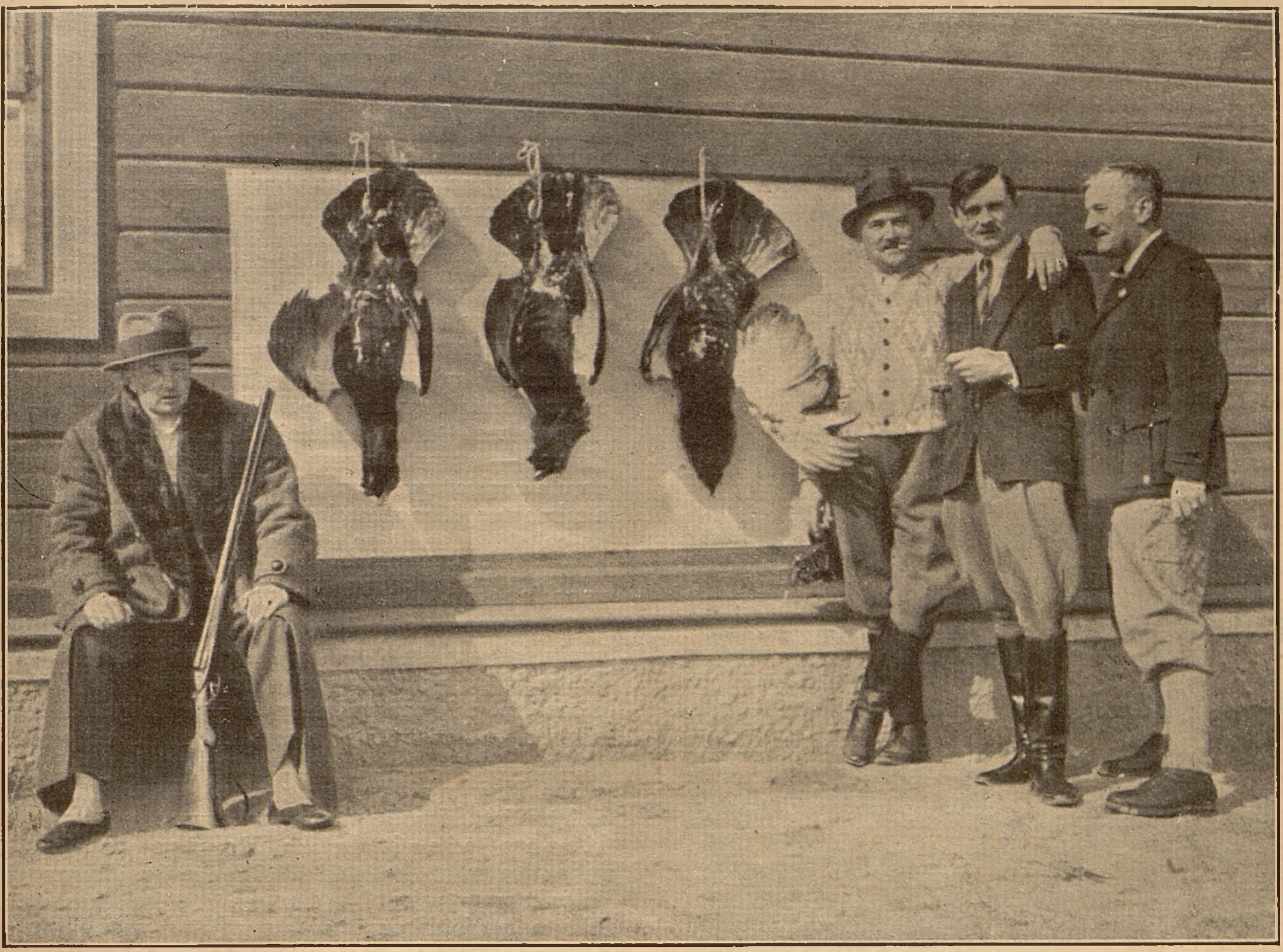
ŁOWIEC POLSKI



Na błocie. Z serji, nagrodzonej II nagr. na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" w 1935 r. Fot. W. Wysocki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 16 (828) 1 CZERWCA 1936 R.



Pamiątka z tegorocznych toków. Fot. St. Hoppe.

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI.

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, które odbyło się w dniu 24 maja r.b., jednogłośnie uchwaliło daleko idącą reorganizację Związku. Punktem wyjścia dla zmiany ustroju stał się przyjęty przez Walne Zgromadzenie nowy statut, o którego projekcie szczegółowiej już pisaliśmy (Ł. P. Nr. 8/9 „Nowy ustrój organizacyjny Związku i rola delegatów powiatowych" — W. Garczyński, oraz Nr. 13 „Przed uchwaleniem nowego statutu Związku" — Wł. Zabiełło).

Fakt ten niewątpliwie należy nazwać dokonaniem szczęśliwej operacji na dotychczasowym organizmie Związku, który odtąd, bynajmniej nie zmieniając swego dawnego oblicza, przeciwnie — jeszcze je bardziej uwydatniając—stwarza daleko szersze, celowsze i życiowo odpowiedniejsze podstawy do powszechnego zrzeszenia polskich myśliwych.

Z tem wszystkiem, znając ich dotychczasową oporność w stosunku do wzajemnej konsolidacji, co przynosić musi szkodę rozwojowi samego łowiectwa, trzeba podkreślić, że przyjęcie przez Związek nowego statutu jest ostatnim gestem „pokojowym" i „dyplomatycznym", uczynionym w kierunku wszystkich jednostek, uprawiających w Polsce łowiectwo w jakimkolwiekbądź charakterze i formie — jednocześnie ostatnią próbą zbudowania wielkości polskiego łowiectwa i nadania mu godności i powagi na drodze dobrowolnego zrzeszenia myśliwych.

Polski Związek Łowiecki — gdyż taką nazwę, z chwilą zatwierdzenia nowego statutu przez władze, Związek przybierze — jak to już wiadomo, tem różni się w swym nowym ustroju, że zasadniczo jest związkiem osób fizycznych i nadto stowarzyszeń, które jednak odtąd żadnych składek do Związku płacić nie będą, natomiast uiszczać je będą indywidualnie tylko ich członkowie.

W łączności z tem jednakże stowarzyszenia związkowe nie mają prawa tolerować u siebie, jako członków, myśliwych, nie będących członkami Związku.

Stąd wynika, że do Związku należeć będą nadal, lub zapisywać się w przyszłości, wyłącznie te stowarzyszenia, których cele polegają nietylko na dzierżawieniu terenów i zabijaniu zwierzyny, lecz przedewszystkiem na głębokiem ideowem zrozumieniu ogólnych zadań łowiectwa. Przez należenie w tych warunkach do Związku, stowarzyszenia, odciążone materjalnie od składek, a poddane jedynie dyrektywom i rygorom Związku, wypływającym z wzajemnej współpracy, zyskają trwałą powagę placówek, pracujących dla rozwoju łowieckiej sprawy.

Składki członków zostały unormowane następująco: od członków zwyczajnych zł 10.—, od nadzwyczajnych zł. 5.— rocznie; nadto przewidywane są składki ulgowe dla osób, stanowiących t. zw. służbę leśną i łowiecką.

Nowy łowiecki ustrój organizacyjny obejmie odrazu całą Rzeczpospolitę, rozpoczynając się w jednostkach powiatowych, gdzie członkowie zwyczajni Związku sami będą twórcami i gospodarzami tej zasadniczej komórki organizacyjnej, jaką będzie Powiatowa Rada Łowiecka.

Ponad niemi staną Wojewódzkie Rady Łowieckie, a naczelnym organem kierowniczym będzie Naczelna Rada Łowiecka, wyłoniona przez przedstawicieli Wo-

jewódzkich Rad Łowieckich, które z porządku rzeczy wezmą swój początek z wyboru przez przedstawicieli Powiatowych Rad Łowieckich.

Tu należy dodać, że zarówno Pow. R. Ł., jak Woj. R. Ł., działalność swą oprą na jednolitych zasadach, wynikających ze wspólnego statutu.

Dalszą zdobyczą ustrojową jest przewidziana współpraca w Wojewódzkich i Powiatowych Radach Łowieckich, przedstawicieli miejscowych władz administracyjnych, jak również Dyrekcyj Lasów Państwowych, względnie nadleśnictw, którzy będą zaproszeni do tych Rad na członków. Tą drogą dotychczasowa współpraca Związku z władzami centralnemi zostanie rozszerzona i uzupełniona przez współpracę z władzami państwowemi pierwszej i drugiej instancji, oraz z technicznemymi kierownikami lasów państwowych, przedstawiających największe możliwości łowieckie w kraju.



Dobry rogacz.

Stałymi opiekunami łowiectwa i wykonywania gospodarki w łowiskach, czynnymi na terenie powiatów, będą Łowczowie Powiatowi i ich współpracownicy — Podłowczowie. Łowczowie Powiatowi będą równocześnie kierownikami Przysposobienia Łowieckiego straży łowieckiej.

Przy tak skonstruowanym ustroju organizacyjnym zostaje stworzona nieprzerwana nić łączności wśród całego społeczeństwa myśliwskiego i możność prowadzenia jednolitej działalności ideowej i gospodarczej na obszarze całego Państwa.

Nie łudźmy się, że przez wprowadzenie w życie nowego statutu staną do apelu odrazu wszyscy bez wyjątku myśliwi, którzy do dziś przez wykupienie kart łowieckich stawali się nimi *de nomine*. Byłoby zbyt naiwnem tak sądzić, wiemy bowiem wszyscy, do dziś ideowo zrzeszeni i nie od dziś ideowo pracujący z całem poświęceniem, że do tak raptownej zmiany nawet przy najlepszych ramach organizacyjno-statutowych poprostu nie dorósł etycznie polski świat myśliwski.

Musimy sobie zdać z tego wyraźnie sprawę i odsunąć na bok wszelkie złudzenia, uzbroić się jednak winniśmy w wielką wytrwałość i wytężyć wszystkie siły, ażeby na tej drodze w prędkim czasie zebrać kolejno do szeregów powszechnej organizacji wszystkie te żywioły, które rozumieją łowiectwo szlachetniej, które zdają sobie sprawę (dotąd choćby tylko egoistycznie) z ekonomicznego bogactwa pod postacią zwierzyny, które wreszcie wysoko cenią sobie sportową wartość polowania.

A zebrać możemy te jednostki niewątpliwie, poświęcając własny czas i pracę dla ich przekonania — każdego w zasięgu najbardziej bliskich mu ideałów osobistych — o wartości wspólnoty interesów, czasem pozornie rozbieżnych i rzekomo bardzo indywidualnych, a mimo wszystko niezmiernie ściśle połączonych w jedną całość, zawartą w ogólnej pomyślności wszystkich dziedzin i wszystkich pojęć jakie wyraz ł o w i e c t w o w sobie łączy.

Gdy ruszymy się planowo we wszystkich zakątkach kraju jednocześnie, gdy zrobimy na początek to tylko, co najpilniejszem jest dla naszego najbliższego otoczenia, wówczas otworzą się oczy i tych nieuświadomionych, którzy, patrząc na naszą siłę organizacyjną i na owoce naszej pracy, zrozumieją wreszcie, że s k ł a d k a n a Z w i ą z e k, to nie podatek, obciążający ich kieszeń, lecz drobny, prawie s y m b o l i c z n y p i e n i ą d z w stosunku do tego, co jednolity front łowiecki dać może im samym, jako członkom organizacji, a bez czego dotychczasowe metody uprawiania przez nich myślistwa nosić będą charakter samowoli i szkodnictwa społecznego przy osiąganiu czysto egoistycznych, lecz na krótką metę, zadowoleń.

Takiemi bowiem będą musiały wydać się im samym dzisiejsze pozory wolności, niezależności i szukania najbliższych sobie interesów w „dzikiem" uprawianiu myślistwa, niepoparte żadną działalnością ogólno łowieckiej wartości.

A kiedy ta chwila nadejdzie, a przynajmniej już zacznie nadchodzić, będziemy sobie mogli powiedzieć wszyscy już zorganizowani myśliwi, że dzień uchwalenia nowego statutu Związku był dniem przełomowym w dążeniu do rozwoju rodzimego łowiectwa, a data 24 maja 1936 r. — datą w jego współczesnej ewolucji historyczną.

Musimy wierzyć tylko, że tak będzie, i wiedzieć, że chcemy dojść do tego pracą, opartą o właściwy szkielet organizacyjny, jaki wreszcie zdołaliśmy stworzyć, odrzucając na bok wszelkie animozje i fałszywe ambicje indywidualne.

Już dziś jednak możemy z całą pewnością powiedzieć, że w historji łowiectwa polskiego w odrodzonem Państwie zdołaliśmy dokonać epokowego dzieła przez usunięcie przeróżnych przeszkód i tarć wśród nas samych.

Nadto, że dla łowiectwa, które zastaliśmy pod różnemi wpływami ustrojowemi w różnych dzielnicach, które taksamo, jak wszystkie inne dziedziny gospodarstwa krajowego, zmagało się w chaosie i błądzeniu, z których wyjść trudno, lub wyjść nie starcza poprostu odwagi — nowe, istotnie życiowe warunki i nowe horyzonty stworzyliśmy pierwsi.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, na II kwartał, lub na miesiąc czerwiec.

Z „DJABŁEM“ NA CIETRZEWIE.

W pewną sobotę, w kwietniu, raniutko wracaliśmy z dalekiej wioski do domu. Gawędziliśmy beztrosko, śmieliśmy się. Józio opowiadał mi różne historyjki, wykładał aż do znudzenia całe stosy swoich starych kawałów, które już tyle razy słyszałem... Nic nie pomagały nawet mniej delikatne „napomnienia", żeby przestał... Wogóle ten Józio to był towarzysz niemożliwy. Ta jego „niemożliwość" polegała nietylko na „niestylowych", pamiętających czasy Aleksandra Macedońskiego anegdotach, ale przedewszystkiem na lubowaniu się w robieniu arcyniemiłych niespodzianek.

I tak — kiedyś w ciepły jeszcze dzień jesieni, w czasie grzybobrania, gdy przebywaliśmy śródleśną polanę, przywołał mnie pod krzew jałowca i mówi:

— Zobacz, jaki wielki borowik tam siedzi!

Cóż dziwnego? Nieraz przywoływaliśmy się nawzajem, by pochwalić się „szczęściem"... Tym razem jednak, zorjentowałem się, że zaraz nastąpi ze strony Józia coś głupiego, ale co: zgadnij! Chwila wystarczyła... Józio porwał z ziemi tęgą, smolną szyszkę i machnął nią, co sił w gęsty świerk... Naprawdę pomyślałem — mój Józio ostatecznie zbzikował... Nagle — złowrogi brzęk i — nim zdążyłem uskoczyć w krzewy, wściekły szerszeń dziobnął mnie boleśnie w policzek, pod okiem. A przeklęte łotrzysko wiało tymczasem, czmychając z uciechy, przez zbite gąszcza. Co z nim miałem robić? Stary chłop, wielki, a błazeństwa lubił. Zawsze za swoje „dowcipy" dostawał w dwójnasób albo w trójnasób. Ale to nie skutkowało. Nazywał te moje „zabiegi" — „koniecznym bodźcem" i na tem się kończyło. Często mawiałem doń po przyjacielsku:

— Żeń się, człowieku, może się ustatkujesz... (nie miałem ani krzty nadziei).

— A co ja z nią będę robił? — odpowiadał z miną wiecznego cynika.

— Z kim?

— Ano, z żoną?

— !... (Bzik).

Tak się zawsze kończyły te upomnienia. Trzeba jednak w głębi duszy przyznać, że lubiłem tego „kawałowego" chłopa. Do panien pierwszy, do konia i nart — pierwszy, a do „myśliwskiej ochoty" — to już najpierwszy. To nas ze sobą skuło (ku mojemu nieszczęściu) na trudy i niewygody, na karkołomne eskapady i długie leśne włóczęgi.

Dziś właśnie wracaliśmy zdaleka, ze wspólnej wyprawy o niewspólnym celu. Gdyśmy mijali ładny zaścianek Staluka, niedającego się nigdy złapać kłusownika, dobiegło naszych uszu bełkotanie cietrzewia. Dźwięki szły z za gęstwiny chojarów, gdzieś ze środka lasu, zwanego „Trokiszczą". Spojrzeliśmy na siebie. Ćwierć brzydkiego dowcipu momentalnie zdechła na ustach Józia.

— Słyszysz?...

— Słyszę.

Strzelb ze sobą nie mieliśmy. Jaka szkoda... Chwilę słuchaliśmy, przysiadłszy na miedzy. Dokoła budził się wiosenny świt.

*

Nazajutrz, jeszcze „z ciemnem", cicho, jak dwa szaro-ubrane duchy — pomykaliśmy do Trokiszczy. W szarzyźnie dalekiego jeszcze świtania widziałem przed sobą olbrzymi kształt trzy razy szerszego w barkach, niż w „talji", Józia; widziałem, jak kołysał się w takt długich kroków...

Jeszcze ziąb szedł od ziemi. Skrzył się miejscami drobinkami siwego szronu, obsiadającego pola. Po pewnym czasie z monotonji tła wytrysnął przed nami czarny zrąb lasu. Zaraz „za Stalukiem" usłyszeliśmy czuszykanie, biegnące skądś z ziemi... Potem — bełkot namiętny, dziki, mocny, jak warkot strugi w kwietniu.

Nieokreślone uczucia pociekły nam w żyły, w piersi, w skupione twarze. Zataczając półkole, zagłębiliśmy się w las. Jeszcze mroki. Gęstwina rozkoszna, młoda, pełna tajemnic i oczekiwania na coś...

Skręciliśmy w stronę krzewów, rosnących koło pola — na skraj lasu. Już słychać było, że cietrzew tokuje na lekkiej pochyłości pólka, wbijającego się klinem w czarne, puszczańskie ramy. Jednak coś mi mówiło, coś szeptało z przekonaniem, że odległość będzie za duża. Powstaje niekiedy w umyśle ludzkim myśl, która już naprzód wie, co będzie... I żal mi było czegoś... Ale nic! Skradaliśmy się wolno, bez szelestów. W takich razach dziwnie ostrożnie wchodzą stopy między kruche, zdradliwe gałęzie suszu; dziwnie przezornie unikają kamieni i niespodziewanych wklęśnięć we mchach. Człowiek się czai — jak dziki, schylony... Tylko oczy błyszczą i serce rozsadza pierś. Nie patrzy się wcale na ziemię, ale tam, skąd płynie urok, skąd dolatuje głos, albo gdzie istnieje ruch...



Z podjazdów w Puszczy Niepołomickiej. Od lewej: Min. Raczkiewicz, Ambasador Cudahy i dyr. A. Piasecki.

Już ostatnia koronka świerczków przed nami. Padliśmy na kolana i skradamy się, jak po szczęście, w nabożnem milczeniu. Każdy mięsień pracuje usilnie, wytrwale. W malignie — czy co? Czarny, zwyczajny kogut — cietrzew pobełkuje sobie, jak pijak — a my leziemy na brzuchach, jak lunatycy... Wstyd!

Ale czego to utrapione serce tak głośno rozbija się w mojej piersi? A słyszę też wyraźnie, jak tętni puls mego starego druha. Tak go szanuję w tej chwili: to jest prawdziwy brat-człowiek.

Zaczyna świtać. Przedblask leje się zdaleka na pola, a od pól w lasy. Jakby deszcz cieniutkich, nieprzerwanych nici, znikomo jaśniejszych w barwie, zawisa na niezmierzonej przestrzeni między niebem i czarną ziemią.

Widzimy już szmat pólka. Koguta niema, a głos płynie... Raptem wbiło się oko w czerniejący punkt na ledwie znaczącej się na ogólnem tle zieleni młodego zboża: jest! Przeczucia nie omyliły — daleko, nie na strzał. Niemożliwość tę potęguje ciemność.

Szybka decyzja, dwa słowa ledwo dosłyszalne — i Józio został, jako widz, a ja czołgam się wzdłuż miedzy na tkwiący tam, wyżej jakiś pagóreczek, podobny do wielkiej kępy.

Dość trudno to idzie, ziemia wilgotna, nawet mokra, młode zboże zroszone, śliskie... Uwaga skupiona do ostatnich granic. Jest jednak w tem podkradaniu się coś tak emocjonującego, tak potężnego, że dech w piersi zamiera.

Jeszcze trzy, dwa posunięcia... jedno — o! już jestem pod pagórkiem; nawet niezła naturalna osłona.

Wolniutko wyszły na wierzch: głowa z wytężonemi badawczo oczyma i końce zroszonych luf...

Patrzę... Jest o tyle jaśniej, że rozróżniam wielką, ciemną plamę, jak napusza się od czasu do czasu,

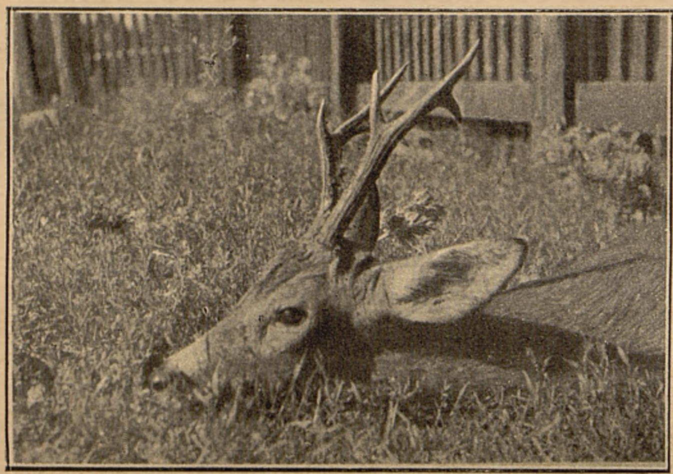
rozpościera skrzydła i — bełkoce, przesuwając się to tu, to tam. Czasami bełkot milknie. Wtedy ptak podnosi wysoko głowę i, czuszykując, podskakuje w górę i uderza głośno skrzydłami.

Obok czarnego harcownika wynajduje po chwili bystre oko dwie cicho siedzące cieciorki. Jeszcze parę sekund wypocznę, żeby strzał był pewny. I chcę i nie chcę strzelać: takie ciekawe i tajemnicze te wiosenne obrzędy cietrzewich zaręczyn. Chce się patrzeć jak najdłużej.

Nagle — przeklęta niech będzie ta ludzka ciekawość! Zerwały się ostro kury, zaklaskały skrzydłami... Za niemi, jak czarny bukiet, strzelił z roli tokowik.

— Przepadło, do pioruna! — zakląłem wściekle.

Leżałem znieważony u stóp pagórka. Obejrzałem się w tył. I nie wiem — czy mi się zdawało, czy w rzeczywistości — ujrzałem nad świerkowemi zaroślami zaciśniętą w kułak rękę Józia, która kołysała się w powietrzu jakimś zagadkowym, zbliżonym do wahadłowego ruchem...



Dobry rogacz z Pomorza. Fot. A. Piasecki.

Czasem cuda się dzieją w życiu nemrodów.

Nie zdążyłem jeszcze wstać, gdy na to samo miejsce spadł cietrzew — samotny... Nie wiedziałem czy ten sam, czy inny, ale byłem pewny, że ten sam, „mój". Może pogardził miłością rdzawych kochanek i przyleciał dokończyć wśród marzeń wiosenną pieśń. Zresztą — kto zgadnie posunięcia zakochanego błędnego rycerza?..

Zatrzęsło się pólko od rozkosznych dźwięków. Znów ptak skakał, biegał, podbijał się skrzydłami...

Ale już nie czekała, raz zaznawszy zawodu, myśliwska ręka... Jednak jak to trudno złapać na muszkę ruchliwego ptaka — tembardziej, gdy ciemno.

Po strzale załopotały skrzydła i — po szarej otchłani nieba popłynął w bezpieczne trokiszczowe ostoje szybki, przestraszony kogut.

— Cha, cha, cha... — przyleciał z krzaków djabelski śmiech tego wiecznego idjoty, Józia.

Zły, zbliżałem się do lasu...

— No i co? — rzucił, śmiejąc się bezczelnie.

— Przeczułem: tak było sądzone... — broniłem się, jak niemowlę.

— Tak... Było sądzone, żebyś portki utytłał w glinie.

Spojrzałem na siebie.

Całe: pierś, brzuch i golenie — pokryte miałem gęstą, grubą, obrzydłą politurą błota.

— Z djabłem pójdziesz na łowy, to i djabła masz! — warknąłem.

„Djabeł" się śmiał...

*

W kilka dni potem zbudowaliśmy wieczorem w głębi Trokiszczy, przy samem międzyleśnem życie (tylko — broń Boże! — nie w tem niefortunnem miejscu, pod wzgóreczkiem) — budę. Ze świerczków i z jałowca kępisko, jak niezbyt duży krzew, wytryskający z mroku, podobne do małej, naturalnej brodawki z kilku choinek, rosnących beztrosko...

Wcale niegroźnie wyglądała ta zasadzka. Św. Hubert napewno niedługo potrzebował prosić Boga w naszej intencji... Zaślepiony miłością ptak nie „zwącha" złego. Tymczasem niech obejrzy inowację, dekorującą jego tokowisko — „salon przyjęć", niech wciągnie nabytek do wzrokowego spisu inwentarza...

— Kiedyś — poderwaliśmy się jeszcze w nocy ze snu. Ubrania na grzbiet. Fuzje na ramiona. Ładunki są — wszystko w porządku, hajda! Więcej, niż pół godziny szybkiego marszu i — już siedzieliśmy, wypoczywając, w budce. Jeszcze panowała całkowita cisza i ciemność. Jakiś cieniutki głosik ptaszęcy, zdawało się, zwiastował ranek.

Józio wziął źdźiebełko, operował niem długo za plecami, a potem z kurtuazją zaproponował:

— Ciągnij! Dłuższy — twój strzał, krótszy—mój...

Uczułem w piersi na miejscu serca kwaśną, spleśniałą cytrynę, bo przypomniał mi się „ów strzał i owa glina". Chciałoby się tamten występ naprawić... Ale...

— Nie! dzisiaj twój strzał — odparłem stanowczo.

Siedzieliśmy.

Czajka kwilikała. Na rojście wrzeszczała kaczka. Darł się gdzieś w nieskończoność żabi koncert. Ciekawe głosy — ale zaczęło się nam dłużyć to oczekiwanie. Przypomniałem, że gdzieś tam, na dnie, w labiryntach moich kieszeni był kawał czekolady (!). Za chwilę chrupaliśmy ją ze smakiem. W trakcie tego któryś z nas mlasnął niechcący językiem. Naprawdę — do dzisiaj nie wiem kto: Józio mówił, że ja, mnie się zdawało, że on... Zresztą zachodzi wątpliwość, czy wogóle... wydaliśmy „mlaśnięcie", a o ile tak, to czy słyszał je któryś z nas — byliśmy bowiem w czasie spożywania smakołyku w takiej mniej więcej ekstazie, jak głuszce na toku... Szczęściem — nie było jeszcze cietrzewia.

Zimno było.

Ogarnęliśmy się w kurty, pozakrywaliśmy połami zamki strzelb, bo „zbierało się" na deszcz. Jakoż rzeczywiście po chwili posypały się, szeleszcząc, drobne kropelki wiosennego deszczu... A wraz z paciorkami wody zleciał skądś, dający się wyraźnie odczuć — przedsmak świtu...

Naraz — buchnęło łopotanie skrzydeł.

Wytężyliśmy wzrok i słuch. Siła woli zdławiła w mocnych rękach dreszcz myśliwskiej gorączki. Ale i ona nie słaba! Aż kipiała w naszych jestestwach, jak wrząca para w zamkniętych, drżących kotłach.

Nic nie mogliśmy spostrzedz. To mroki!

Spojrzałem na Józia. Zdawało mi się, że on zaraz... beknie... Tak! to wielkie, stare chłopisko — aż dziw! Wyglądał, jakby się modlił o coś, jakby błagał z całej duszy...

Może po minucie ozwało się czuszykanie, potem znowu się powtórzyło — raz, drugi, trzeci...

Przerwa. Znowu głos. Teraz buchnął tok całą siłą — zapamiętale...

W żaden sposób nie mogliśmy odszukać koguta; osłaniała go jeszcze murem nieprzebytym ciemność. Nareszcie — w czasie jednej z przerw, kiedy podskoczył, równocześnie pochwyciły go nasze oczy.

Józio złożył się starannie i — palnął w ten czarny punkcik na odrobinę innem tle. — Jak szaleńcy wypadliśmy z budy. Leżał na młodem, miękkiem życie. Cudowny, czarny, jak węgiel, ptak!

Już zgóry — na wszelki wypadek — przygotowałem „zdańko", ażeby Józiowi wykazać, że djabeł ma też czasami na łowach szczęście... Ale teraz — niech go tam!

Więc tylko powiedziałem:

— Staluk toby przepchał językiem fajkę w prawy kąt ust, zmrużyłby lewe oko i, uśmiechając się, szepnąłby: — „Poszańcowało...".

TYTUS KARPOWICZ.

ZACH NIEDŹWIEDNIK.

Panu Doktorowi Henrykowi Zajączkowskiemu,
w dowód uznania i wdzięczności, poświęcam.

Wąską drożyną, zarzuconą wśród głuchej puszczy, jechało prostemi, chłopskiemi rozwalniami dwóch mężczyzn. Po kapiszonowych strzelbach, leżących w saniach i borsuczych torbach, które każdy z nich miał przerzucone przez ramię, łatwo było poznać cel, w jakim ludzie ci zdążali w te dzikie i odludne strony.

Młodszy z nich ubrany był w ciepłą futrzaną kurtkę i filcowe buty, na głowie zaś miał niską barankową czapeczkę. Był to jeszcze młody chłopak, o żywych, czarnych oczach i miłym wyrazie twarzy. Pod orlim nosem, o wydatnych, rasowych nozdrzach, czerniał młody wąsik. Policzki miał zaróżowione, bo mróz był siarczysty. Młodzieńcem tym był Władzio Orłowski, syn właściciela olbrzymich lasów, położonych w samem sercu Białej Rusi.

Towarzysz jego, starszy mężczyzna ogromnego wzrostu, o szerokich barach, znamionujących niepospolitą siłę, obuty w ogromne łapcie z łyka lipowego, ubrany był w bronzowe samodziałowe spodnie i krótki kożuszek, noszący na sobie mnóstwo łat i cer. Pucołowatą twarz jego okalała szczeciniasta, ruda broda, takież wąsy jeżyły się na górnej wardze. Fizjonomja nosiła piętno lisiej chytrości. Był to Filip Dubok, znany w całej okolicy osacznik niedźwiedzi.

—Jak myślisz, Filipie, czy uda nam się „go" obejść?

— A już taka na nas Boża niemiłość, paniczu Władziu, jeśli nie uda się — odparł Filip — ja jego jeszcze po czarnej stopie podpilnował, widział ja, gdzie on sobie barłogę sposobić zaczął, to teraz po pierwszym śniegu same głupstwo jego obejść.

— A czy to napewno on? Czy to napewno ten niedźwiedź?

— Jakżeby nie on? Ja jego ślad jeszcze z jesieni na błocie podpatrzył, zadnią nogą powłóczy, a ślad to taki wielki, ot jak mój łapeć.

Tu wyciągnął nogę i wskazał palcem na swe obuwie.

— Szkoda, że Zacha ekonoma ze sobą nie zabrali — dodał po chwili milczenia — był on u nas na folwarku, kiedy my wyjeżdżali.

— A co to za Zach? — spytał Władzio, który przybył z dalekiego miasta, gdzie przebywał na studjach i z tego powodu nie znał wszystkich oficjalistów z sąsiedztwa.

— A to ekonom od państwa Ciechanowskich, z Czechów on wywodzi się, dobry myśliwy i od niedźwiedzi wielki majster. Ale skąpiec i taki łasy na zwierzynę, że aż hadko.

Tymczasem gęsty świerkowy las, którym jechali dotychczas, począł rzednąć i niebawem oczom myśliwych ukazała się obszerna polana.

Filip zatrzymał na jej brzegu konia i począł rozglądać się po niebie.

Czerwona tarcza słońca właśnie przetaczała się za las, barwiąc purpurą niepokalaną biel pierwszego śniegu. Na niebie tam i sam widniały krwisto czerwone od zachodzącego słońca obłoczki, niby korabie o wzdętych żaglach, pływające po niezmierzonej głębi jakiegoś bajecznego jeziora. W lesie panowała martwa cisza, zrzadka tylko mącona trzaskiem pękającego od mrozu drzewa.

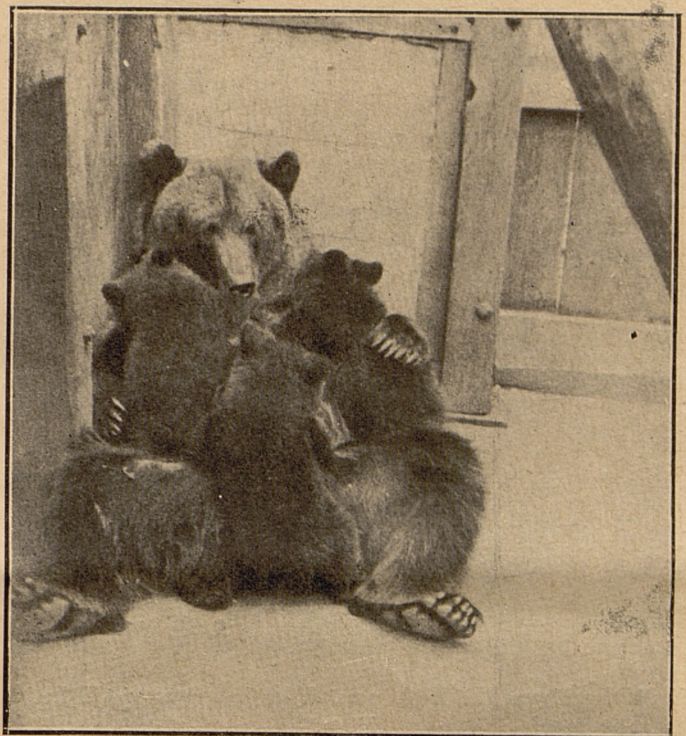
— Źle — mruknął Filip — jeżeli my jego jutro rano nie obejdziem, to wtedy on przepadł. W południe śnieg jutro padać będzie. Ale trzeba jechać dalej, już wieczór robi się, a szmat drogi jeszcze przed nami.

To rzekłszy, zaciął czarnego, jak żuk, konika, który leniwie ruszył z miejsca i zaczłapał drobnym kłusikiem po przetartej już uprzednio przez gajowego drodze.

Po kwadransie myśliwi minęli polanę i znów zagłębili się w gęsty świerkowy las, który wznosił się po obu stronach dróżki nakształt dwu zwartych, niebotycznych ścian. Tymczasem zimowa, mroźna noc brała puszczę w swe objęcia i pod nawisłemi gałęziami świerków panowała już niepodzielnie.

Nagle do uszu myśliwych doszedł nowy dźwięk, wyłaniający się jakby skądś z pod ziemi. Zaczął się on niskim, basowym tonem, potem wzniósł się ku górze, rósł, potężniał, znów opadł i rozpłynął się w przestworzu, zdawało się, że gdzieś pod stropami niebios. Był on nabrzmiały bezdennym bólem i skargą, i zarazem tak ponury i groźny, że Władziowi aż ciarki przeszły po plecach.

— Co to? — spytał niepewnie.



Matka, karmiąca trojaczki. Ze Szkolnego Ogrodu Przyrodniczego w Zamościu. Fot. dyr. S. Miler.

— Wauki — odparł obojętnie Filip — piosenki sobie śpiewają, ale panicz Władzio niech się nie obawia, nie zrobią oni nam żadnej krzywdy. Więcej oni nas, niż my ich boją się. A ot już i Ludomirów dom blisko.

Jakoż niebawem doszedł do nozdrzy Władzia zapach dymu, a do uszu jego szczekanie psa i po chwili łowcy wyjechali na niedużą polankę, w środku której wznosiła się chata gajowego Ludomira.

Ludomir wnet wybiegł na podwórze i zakrzątnął się przy otwieraniu bramy. Był to kościsty i suchy staruszek, o twarzy, jak jabłko pieczone, pomarszczonej, okolonej siwą brodą. Małe piwne oczki, pomimo podeszłego wieku, patrzyły bystro.

— A niedźwiedzia ja już sam obszedł — rzekł on po przywitaniu—leży on w Wilczym Ostępie, od strony Kukora on tam wszedł, a ślad to jego wielki, jak moja czapka. Ale co ja stary mówię, ot proszę panicza do chaty. I ty Filip zachodź, konia ja odłożę.

Niebawem wszyscy siedzieli przy wielkiej, dymiącej misie ziemniaków, suto omaszczonych słoniną. Zaspokoiwszy głód, Władzio rzekł, zwracając się do Ludomira:

— No, stary, a teraz spać, szykuj nam posłanie.

— Już posłane, paniczu, dla Filipa na piecu, a dla panicza tutaj na ławce. Pozwól panicz, buty rozzuję.

Po krótkiej chwili Władzio leżał już rozebrany na ławie. Trzask płonącego łuczywa, zastępującego lampę i monotonne ćwierkanie świerszcza za kominem ukołysały go i zasnął zdrowym, krzepiącym snem młodości.

Blady zimowy świt ledwie ukazał się na niebie, a już Filip tarmosił Władzia za ramię, krzycząc mu jednocześnie nad uchem:

— Paniczu Władziu, paniczu Władziu, czas wstawać. Objeżdżać niedźwiedzia my tu przyjechali, a nie spać.

— Czy już? — spytał Władzio, przeciągając się i ziewając na całe gardło — spać mi się jeszcze chce.

— No to panicz zostawaj. Ja sam pójda zobaczyć, jak Ludomir tego niedźwiedzia obszedł.

Groźba ta poskutkowała i Władzio zerwał się z posłania, żwawo począł się ubierać i w chwilę później był już zupełnie gotów do wyprawy. Żona Ludomira, siwa, jak gołąb, staruszka, podała mu wielki kubek mleka, który Władzio wypił duszkiem, poczem myśliwi wyszli przed chatę. Mroźne powietrze na chwilę zatamowało im oddech w piersiach.



Myłkus, zabity w Kotlicach, pow. Jędrzejów, przez p. H. Rudzkiego.

Na wschodzie jaśniała, niby słucki pas, seledynowa pręga, na samym tylko horyzoncie przetkana purpurą i złotem. Świerkowy las na jej tle wyglądał, jak olbrzymia, zębata piła. Śniegi mieniły się wszystkiemi kolorami tęczy, od pomarańczowego poczynając i kończąc na ciemno niebieskim. Na niebie przebłyskiwały jeszcze gdzieniegdzie gwiazdy.

Władzio stał przez chwilę na progu chaty, zachwycony tym cudnym widokiem, aż Filip, jak każdy chłop białoruski, nieczuły na piękno przyrody, na którą zwykł był patrzeć od dziecka, przerwał jego kontemplację, nawołując do pośpiechu.

Łowcy przypasali do nóg krótkie, a szerokie narty białoruskie, zwane irtami, i puścili się w drogę, Filip naprzód, Władzio za nim po utartym już szlaku. Od Wilczego Ostępu dzieliło ich niecałe dwie wiorsty, niebawem więc znaleźli się na miejscu. Uroczysko Kukor znajdowało się z przeciwnej strony, niż ta, od której nadeszli myśliwi, a więc rozpoczęli obchód, idąc śladem, pozostawionym dnia poprzedniego przez Ludomira.

— Ot, Zach teraz przydałby się — rzekł Filip. — Onby poszedł jedną stroną ostępu, a my drugą, to prędzejby obeszli.

Droga była nadzwyczaj uciążliwa, z powodu mnóstwa zwalonych pni, wykrotów i zwałów łomu, po których trzeba było przechodzić, lub wymijać je. Nawet Filip, nawykły do trudów, spocił się, Władzio zaś po przejściu pół wiorsty był mokry, jak szczur. Dzielnie jednak walczył z przeszkodami, natężając wszystkie siły, by zdążyć za Filipem, który, jak łoś, chyżo mknął naprzód. Po upływie pół godziny byli już na wejściowym tropie niedźwiedzia. Filip, rzuciwszy okiem na ślad, rzekł przyciszonym głosem:

— On, napewno on, po śladzie poznaję. Teraz już mi napewno nie ucieknie. Szwagra mego zadarł, sukin syn, to teraz już ja się z nim policzę. A ile krów i owiec on zjadł, to już i zliczyć nie potrafię.

Władzio, przyjrzawszy się uważnie tropowi, o mało nie krzyknął ze zdziwienia, lecz przypomniawszy sobie, w jakich znajduje się okolicznościach, rzekł również przyciszonym, jak Filip, głosem:

— Toż on wyszedł z tego ostępu, a nie wszedł, dziadźko Filipie, ślad jego przecież w odwrotną stronę prowadzi.

— To nic — odparł Filip, uśmiechając się przebiegle — on zawsze do barłogi tyłem wchodzi, dla niepoznaki. Każdy stary niedźwiedź tak robi.

To rzekłszy Filip ruszył w dalszą drogę, która nie była teraz tak uciążliwa, gdyż myśliwi wyszli już z czarnolesia. Szlak prowadził obecnie przez zwarty, gęsty sosnowy bór, wykroty i zwały łomu trafiały się tu rzadziej, więc pomknęli teraz żwawiej i po niecałej godzinie marszu ostęp był już zamknięty. Wczorajsza przepowiednia Filipa sprawdziła się. Łowcy nie doszli jeszcze do domu, gdy zerwał się wiatr i na niebie ukazały się pierwsze forpoczty nadciągającej śnieżycy — szare chmury. Niebawem pokryły one całe niebo i w powietrzu zawirowały pierwsze płatki śniegu, niby puch z rozprutej ogromnej poduszki. Padało coraz gęściej, zasypując ślady myśliwych, którzy siedzieli już za stołem w ciepłej chacie Ludomira.

*

Długim sznurem szła obława, okrążając Wilczy Ostęp przez zaśnieżony świerkowy las, podobny do olbrzymiej gotyckiej świątyni. Ludzie szli cicho, zrzadka tylko padało słowo, wypowiedziane szeptem lub półgłosem. W skradającej się cichcem gromadzie dawało się wyczuć instynktowne przyczajenie zdążającego na łowy pierwotnego człowieka.

Prowadził obławę Filip Dubok wraz z Zachem, który na polowanie przyjechał. Ten ostatni przedstawiał typ zgoła niepospolity. Na ogorzałem obliczu widniało dwoje małych, czarnych, wiecznie biegających oczu. Twarz miał gładko wygoloną. Długi, szpiczasty nos, omal że stykający się z brodą, niskie zwierzęce czoło i wystające kości policzkowe nadawały mu wygląd drapieżny, czyniący go podobnym do wilka.

Zach był powszechnie nielubianym człowiekiem, a to dla niezmiernego swego skąpstwa. Żałował wszystkiego zarówno sobie, jak innym. Pozatem był niezmiernie chciwy, skryty i podejrzliwy.

Teraz szedł Zach przed obławą, od czasu do czasu odwracając się i karcąc ruchem dłoni bliżej idących za nim ludzi, za każde niebacznie głośniej wypowiedziane słowo.

— Ot, dola! — rzekł półgłosem Zach do Filipa — ty Filipie obszedłeś niedźwiedzia, a zabiją jego pany. Czy nie szkoda to?

— At, niech sobie zabiją.

— Jakto, niech sobie zabiją? Szkoda!

Na tem rozmowa się urwała.

Koło obławników było już prawie zamknięte. Do linii strzelców pozostawało nie więcej, jak sto kroków.

Zach zatrzymał się i obejrzał wstecz, by sprawdzić czy wszystko jest w porządku. Stał teraz na wzniesieniu i obławnicy, widoczni z tego miejsca na znacznej przestrzeni, przypominali olbrzymi różaniec, każde ziarnko którego stanowił człowiek.

Tymczasem z drugiej strony ostępu pan Orłowski rozstawiał strzelców. Było ich pięciu, on sam, Władzio i trzech gości z sąsiedztwa. Władzio miał stanąć na prawem skrzydle, w tem miejscu, gdzie linja myśliwych stykała się z obławnikami.

— Tu staniesz, Władziu, pilnuj na tym hale z lewej strony — rzekł pan Orłowski do syna, gdy znaleźli

się na miejscu — ot tam, za tym zakrętem, zaczyna się obława.

To rzekłszy szybko się oddalił, by zająć swoje stanowisko.

W puszczy panowała wielka, niczem prawie nieprzerywana cisza. Zrzadka tylko mąciło ją skrzeczenie sójki, lub tęskne kwilenie czarnej żołny. Władzio stał nieporuszenie, oparty na strzelbie, zasłuchany. Nagle do uszu jego doszedł z początku cichy i jakby nieśmiały, potem coraz to potężniejący krzyk setek głosów ludzkich. To ruszyła obława.

Dźwięk ten zelektryzował nerwy Władzia, pochwycił broń w garść, przygotował się do strzału i tak czekał. Po chwili przekicał wolniutko obok niego zając bielak, wypłoszony przez obławę; górą nad lasem przeleciało kilka sójek. Gdzieś w głębi ostępu zagrzmiał skrzydłami jarząbek.

Mało miał Władzio nadziei, by niedźwiedź wyszedł na niego. Na najlepszem stanowisku, położonem na wejściowym tropie, stał jeden z przyjezdnych gości. Miał jednak nadzieję, że może ten spłoszy, lub spudłuje niedźwiedzia, a wówczas i on miałby pewne szanse. Coraz bliżej linji myśliwych była obława, a nie huknął jeszcze upragniony strzał. Niebawem oczom Władzia ukazał się jeden z obławników. Był on spocony i cały zaśnieżony.

— No a gdzież niedźwiedź? — spytał go Władzio.

— A czort jaho wiedaje, paniczu — odparł naganiacz — my dobrze ostęp pędzili, a taki i nie wyszedł, musi zaspał on w barłodze. Wieczór już prędko, to nie zdążym drugi raz ostęp przepędzić. Tak on i zostanie.

W międzyczasie głosy obławników poczęły stopniowo ucichać, aż wreszcie zamilkły zupełnie: obława wyszła na linję strzelców. Władzio rozgoryczony nie powodzeniem poszedł wolnym krokiem w kierunku, skąd dochodziły go głosy większej liczby ludzi. Zastał tu swego ojca, Filipa Dubka oraz sporą liczbę obławników. Pan Orłowski mówił właśnie do Filipa:

— No co z tym niedźwiedziem? Mówiłeś wszak, żeś go obszedł, a nie widzieliśmy go na linji strzelców!

— Ot panie, w samym środku ostępu zaległ — odparł Filip — w takich łomach, że dojść tam teraz nie można po śniegu. Obława minęła ta miejsca.

Tymczasem zwolna zaczęli ściągać naganiacze, nadeszli też przyjezdni goście. Uradzono, że myśliwi i obławnicy pójdą na noc do pobliskiej chaty Ludomira, a że jutro będzie się pędziło ostęp nanowo. Miano też posłać do jednego z sąsiadów po psy, które na niedźwiedzia chodziły. Myśliwi roztasowali się w chacie u Ludomira, obławnicy zaś przy ogniskach pod gołem niebem.

Przy jednym z największych ognisk rej wodził Filip Dubok; rozmawiał właśnie ze starszymi chłopami.

— A jego my już jutro w tym ostępie nie znajdziem — mówił, zwracając się do Zacha — dzisiejszej nocy on wyjdzie. Każdy niedźwiedź tak robi. Zaraz zwieczora wyjdzie on sobie przez wejściowy ślad i pójdzie daleko aż na Briańskie lasy.

— Hospodi pomiłuj, wyjdzie? — ozwał się jakiś chłop o szerokiej, jak łopata, brodzie.

— To może on tutaj do nas przyjdzie? — zawołał jakiś wyrostek piskliwym głosem, drżąc ze strachu.

— Ot, durny — rzekł Filip, odwracając się niechętnie w jego stronę — nie widzisz, że ognie się palą?

Podczas, gdy toczyła się ta rozmowa, Zach stał zadumany na stronie.

— A żeby tak spróbować szczęścia? — myślał on sobie. — A żeby tak pójść na wejściowy trop tego niedźwiedzia i zaczaić się tam. A nuż zwierz wyjdzie na mnie? Nie zastanawiając się dłużej, odszedł od ognisk i ruszył w stronę swoich sań, na dnie których spoczywały dwie jego strzelby: znakomita Lebedówka i staroświecki, pojedyńczy karabin wojskowy. Wziął do ręki najpierw tę pierwszą.

— Szkoda jej — pomyślał sobie — po nocy jeszcze gdziekolwiek ją złamię, wezmę lepiej sztucer.

Ubiegłego dnia był w lesie z Lebedówką, sztucer więc był nieładowany. Zbliżył się do okna chałupy, z którego padała na dwór smuga światła i począł go pedantycznie nabijać. Najpierw nasypał na dłoń ładunek prochu i, zważywszy go w ręku, mruknął do siebie:

— Żal tyle prochu, wystarczy i mniej.

Odsypał część z powrotem do rożka, resztę wrzucił do lufy, zabił kłakami, włożył ogromną ołowianą kulę, którą też przybił i, nałożywszy kapiszon na brandkę, chyłkiem wymknął się z obozu.

Księżyc świecił jasno, więc dopóki Zach szedł po otwartem polu, było widno, jak w dzień, lecz gdy zagłębił się w przepastne czeluście puszczy, objął go mrok, że z trudem odróżniał ślady obławy, któremi się kierował. Po godzinie wytężonego marszu stanął jednak na miejscu. Było tu jaśniej z powodu małej luki pomiędzy drzewami, przez którą wpadało do wnętrza puszczy kilka promieni księżyca, zapalających na nawisłych, osypanych śniegiem gałęziach świerków niezliczoną ilość iskierek o brylantowym połysku. Zach obrał sobie wygodne stanowisko, poczem z bronią gotową do strzału zamarł w oczekiwaniu.

Czekał długo. Wtem, gdy zniechęcony i przemarznięty do szpiku kości, chciał już wracać do domu, uwagę jego zwrócił trzask złamanej gałęzi w głębi ostępu.

Wszystkie nerwy Zacha naprężyły się, jak postronki.



Budan w Suchodole. Fot. A. Piasecki.

— Teraz, lub nigdy — pomyślał sobie — albo zdobędę sławę nieustraszonego niedźwiednika, albo zginę. Nagle z gałęzi świerka, oddalonego od Zacha o dwadzieścia kroków, z głuchym łoskotem zaczął spadać śnieg i w tej samej chwili wynurzyła się z pod nich olbrzymia sylwetka zwierza.

Zach z bronią przy oku stał nieporuszenie, jak głaz. Niedźwiedź szedł z ogromnym łbem, podniesionym wysoko, wprost na niego. Jest już na dziesięć kroków. Jeszcze chwila i Zach, naprowadziwszy świecącą w księżycowej poświacie muszkę na samo czoło zwierza, pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał, lecz jakiś cichy, anemiczny. Broń, nabita niedostatecznym ładunkiem prochu, nie spełniła swego zadania.

Straszliwy ryk rozwścieczonej bestji zlał się z krzykiem przerażenia. W jednej chwili niedźwiedź dopadł człowieka, który nawet nie zdążył sięgnąć ręką po kordelas. Jednem uderzeniem mocarnej łapy zdarł mu czapkę wraz z wierzchem czaszki z głowy.

Czerwone płatki zamigotały w oczach Zacha. Ostatnim przebłyskiem świadomości zasłonił twarz łokciem, poczem z jękiem runął na śnieg, który niebawem zaczerwienił się świeżą krwią ludzką.

Niedźwiedź stał nad nim, obwąchując świeżego trupa. Po chwili podniósł łeb i wolno, majestatycznie ruszył ku dalekim Briańskim lasom.

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN.

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Kid nasycił swą żądzę świeżego mięsa. Obżarł się w ciągu tego i następnych kilku dni, które strawiliśmy na oprawianie byka, do sytości — i szpikiem i chrapami...

Mnie jego towarzystwo coraz więcej nużyło. Nie było między nami tej spójni, która mnie łączyła i łączy zawsze z towarzyszami moich wycieczek łowieckich. Odstręczał mnie od siebie sposobem bycia. Obcy mi był i daleki. Nie było żadnej łączności między mną a tym *tree quarter bred'em*.

Tułałem się po naszych Karpatach wschodnich, po błotach i rozlewiskach smętnego Polesia, po rojstach i miodnych wrzosowiskach Wileńszczyzny. Jakim chętnym, jakim miłym towarzyszem i kompanem jest nasz przewodnik. Z każdym z nich z żalem się rozstawałem. Każdy z tych Hawryłków, Fied'ków, Michaiłów pozostawiał we mnie jakąś więź, jakąś nić, a zawsze wdzięczność i miłe wspomnienia, bez względu na rezultaty mojej wycieczki. Był mi bliski, zrozumiały, był mi druhem. Zawsze z utęsknieniem oczekuję możliwości wyjazdów, czy to na wiosenne toki czy jesienne rykowisko, aby tych ludzi zobaczyć, wspomnienia odświeżyć i nić łącząca nas stale tężeje, wiążąc nas wspólnem zamiłowaniem, wspólnie zniesionemi trudami i wysiłkiem, tym zdrowym wysiłkiem, jaki daje bliskie obcowanie z boskością przyrody w jej świątyni.



Stado Cariboo.

Ile hartu, ile pracy, ile dobrej woli okazuje przewoźnik na Lwie, Pinie, czy Jasiołdzie, jakiż usłużny jest i chętny, bez lokajskiej obłudy, podczas wiosennego polowania na kaczory. Ileż to razy siłą wprost musiałem wstrzymać Owsieja czy Griszę, który nie bacząc na chłód i lodowato zimną wodę, zakasywał biedne swe porcięta, w poszukiwaniu strąconej cyranki grzązł w błocie po pas i wyżej, kalecząc się nieraz do krwi o ostre trzciny, szuwary i sterczące korzenie. Jaki zapał, wytrwałość okazywał gajowy lasów państwowych w O., który dniem pełnił żmudną swą służbę, wieczorem zaś zdążał do oddalonego o 5 kilometrów budanu, śpiesząc ze mną na wieczorne zapady, a świtem na toki.

Tu mam przed sobą renomowanego *guid'a* z licencją, potomka łowców, który jest niedbałym leniem, a rzekome opanowanie jego i chłód nie jest chłodem stali, a raczej zmarzniętego nawozu. Jest mi daleki, obcy, antypatyczny i niezrozumiały. Bodaj to słuchać rad doświadczonych. Niezapomniany Ojciec B. z Montrealu radził mi:

— Nigdy nie bierz ze sobą mieszańca, towarzyszem i druhem będzie ci czystej krwi Indjanin, albo biały przewodnik każdego pochodzenia. Metys jest najczęściej produktem dwojga wyrzutków, a co za tem idzie, spotęgowanym łajdakiem i nicponiem. Niewiele użytku będziesz pan z niego miał. Z małemi wyjątkami rzadko są ludźmi, posiadającymi jakieś dodatnie wartości. Są to przeważnie kłamcy, obłudnicy i koncentrują w sobie dużo z piekła idących przymiotników.

Nie pojmuję narazie na jakiej zasadzie i skąd te dytyramby na cześć Kida w ustach panów łowczych *(game comissioner)* z Vancouver, ludzi, których żadną miarą o złą wolę posądzać nie można. Musiało tu zajść jakieś nieporozumienie... Wytłomaczył mi to w kilkanaście dni później Norweg, przyszły mój towarzysz, szczery kompan myśliwy.

Nadomiar złego Kid nieudolnie obszedł się z łbem mego trofeum, fatalnie preparując czaszkę. Zresztą część winy i na mnie tu spada, ponieważ, zamiast przypilnować go, zaufałem jego obietnicom i poszedłem obejrzeć miejsce, gdzie ubiegłego wieczora zapadło stadko gęsi. Mając Zeissa, zacząłem przez szkła rozpatrywać się w okolicy, badać kępiaste błota u wybrzeży jeziora i, włócząc się tak z Lebeau, łatwo odkryłem miejsce noclegu gęsi po licznych śladach. Zauważyłem mianowicie, że *anser canadiensis* najchętniej spoczywa na kępach bagniska i mszarach, gdzie spotyka się czerwony owoc, do polskiej żórawiny podobny.

Około południa wróciłem, aby z przykrością stwierdzić, że zbyt pilno widocznie było temu drapichrustowi dostać się do *brennes* (mózgu), który uchodzi tu za smakołyk, na skutek czego górna część czaszki uległa zniszczeniu. Uratowałem z niej co się jeszcze dało i zacząłem myśleć nad tem, ile zachodu i trudów będę jeszcze musiał znieść, aby rosochy te przewieźć na grzbiecie końskim w całości i nieuszkodzone do celu, torując im drogę przez gąszcza i wertepy, pnąc się po górskich, skalistych gzymsach.

Niewesołe to były myśli, przyjmując pod uwagę dotychczasowe wyczyny, niestety, tylko na polu gastronomicznem, mojego cicerone. Pod wieczór wróciłem na błota, aby poczekać na gęsi, które tu ze zmierzchem zapadają. Ustawiłem między kępami kilka z tektury wyciętych i pomalowanych *decoys*, rodzaj naszych bałwanków na podpórkach. „*Decoys*" te, gęsie wabiki, które łatwo się składają i nie zajmują dużo miejsca, a będąc z tektury, są lekkie, przywiozłem ze sobą jeszcze z dalekiej Manitoby, gdzie na tamtejszych licznych jeziorach i rozlewiskach ze skutkiem polowałem na to ptactwo. Jest to sposób znany nietylko w Kanadzie. Wabiki, ustawione z wyciągniętemi ku górze tekturowemi szyjami, nawet bardzo wprawne oko mogą w błąd wprowadzić, tak łudząco naśladują naturalną gęś. Dla większego prawdopodobieństwa część tekturowych gęsi ma szyje opuszczone, jakby się pasły. Widok ten zazwyczaj działa niezawodnie i na tem pustkowiu, gdzie na przestrzeni setek kilometrów nie spotyka się ludzi, czujny ten ptak, nigdy niepłoszony, zauważywszy z góry żerujące swe siostry, z całą pewnością zapada obok nich.

Na błotach i jeziorach Manitoby, które dla myśliwego na błotne ptactwo odgrywają tę samą rolę, co północno-zachodnia część Kanady dla myśliwych na grubszego zwierza, są liczne rezerwaty dla tego gatunku, tak, że zdobycie maksymalnie dopuszczalnej ilości 50 sztuk podczas sezonu, który trwa, z małemi odchyleniami, tylko od 20 września do 15 października, nie jest tak łatwe, jak to się na początku wydaje. Gęsi wszelkiego typu i kaczki, po pierwszych dniach otwarcia sezonu, kiedy to ustrzelenie prekluzyjnej

ilości dziennie 10-ciu gęsi i 20-tu kaczek nie stanowi specjalnego trudu dla myśliwego, później, stale płoszone, kierowane jakby instynktem, omijają olbrzymie przestrzenie i, szybując bardzo wysoko, lecą wprost do rezerwatów. Trzeba zużyć wiele sprytu i pomysłowości i doskonale znać obyczaje mieszkańców tych błot i rozlewisk, aby ten limit zdobyć, przy pomocy przewodników indjan, świetnie prowadzących *canoe* po nieobjętych okiem powierzchniach wód, porosłych szuwarami i trzciną.

Dla przewodników stanowi to zresztą pokaźne źródło zysków podczas sezonu, kiedy zjeżdżają liczni myśliwi ze Stanów Zjednoczonych. Wysilają też oni swą pomysłowość do krańcowości, aby zadowolnić swoich klijentów, którzy, uzbrojeni w rozmaitego typu śrutowe automaty (w prowincji Manitoba niema pod tym względem ograniczenia), żądni łupów, kierując się przeważnie maksymą „prędko, bylejak i dużo", nie przebierają w środkach, będąc w zasadzie w najlepszej zgodzie z prawem łowieckiem.

Jednakowoż chciałbym tu zaznaczyć, że przewodnik indjanin, wyposażony w te same akcesorja ubraniowe, co myśliwy, świetnie przystosowane do warunków, w bardzo rzadkich wypadkach pofatyguje się wspólnie z myśliwym, aby, brodząc po błocie, odnaleźć postrzałka. Polując z tego typu czerwonoskórym dżentelmenem, mimowoli przez mózg przewalają się refleksje porównawcze z naszymi szarymi Poleszukami, którzy o jakże inaczej obowiązki swoje rozumieją i spełniają. Zresztą i myśliwy amerykanin tylko w nielicznych wypadkach potrafi ocenić błogosławieństwo i czar otaczającej go przyrody i, dążąc do możliwie najszybszego osiągnięcia określonej granicy, prawem łowieckiem dozwolonej, ugniata zdobycz swoją w workach, poczem ucieka do swoich biznesów.

Mało się troszczy o rozkosze, jakich bezmiar otaczającego go piękna i smętku dostarczyć mu mogą; o tę nieuchwytną, a jakże czarowną melancholję tego płaskiego krajobrazu, bagnisk, mszarów i zwierciadeł wód odkrytych; o poszum skrzydeł i odgłosy miljonów skrzydlatej rzeszy, ciągnącej na południe.

Amerykanin jest czerstwy, przyjechał tu strzelać, zużył setki ładunków, napchał trofea w wory i jest „all right". *Good bay* do przyszłego sezonu...

Sam siadłem na wysepce, porosłej gęsto łoziną. Zacząłem się wsłuchiwać w otaczającą mnie ciszę i pogrążyłem się w ten z niczem nie dający się porównać błogostan dostojnego piękna przyrody.

Mam przed sobą jezioro, brzegiem zamarzłe, zlewające się z bagnem hen pod puszczą, łagodnym stokiem opuszczającą się ku wodzie. Las ten i wzgórza tworzą oprawę jasnego, bielejącego śniegiem i lodem zwierciadła. Siedzę i czekam. Siedzę i podziwiam, wchłaniam w siebie ten obraz. Na odkrytą taflę wód wypłynął ptak widmo „loon" *(Gavia immer)*. Ślizga się po lustrze, niknąc, jak duch, jak zjawa, aby po chwili długodzioby łeb swój znów na powierzchni ukazać i przeciągłym jękiem obecność swą ogłosić. *Muskrat's* — szczury piżmowe, śmiesznie wystawiwszy, niby stery, płaskie ogonki, żwawo ciągnąc za sobą pomarszczoną falbanę wody, płyną, pilnie swemi tajemniczemi sprawami zajęte.

Jasno jest i mroźno. W ciszy tej uszu moich dobiega dalekie echo krzątaniny Kida i brzęk dzwonka pasących się na polanie, opodal namiotu, koni. Dubeltówkę oparłem o sterczący spróchniały pieniek — czekam odgłosu „hong'r", zwiastującego pojawienie się gęsi. Upływa w ten sposób godzina za godziną. Coraz jest zimniej. Nad głową widzę już skrzący się i migocący złotem, złamany dyszel Wielkiego Wozu. Przez szkła lornetki polowej napawam się widokiem małego rudla jeleni *(mule deer)*, żerującego na płaskowyżu. Marzę o tem, aby zobaczyć zapobiegliwego bobra, jak, pracując żelaznemi szczękami, podcina pnie, aby umocnić, ufortyfikować swój ostrówek. Teraz za wcześnie jeszcze, a później, kolejnem następstwem rzeczy, zbyt ciemno będzie, aby coś zaobserwować. Obiecuję sobie jednak, że muszę parę poranków, względnie jasnych nocy księżycowych, poświęcić na to. Wytężam wzrok i słuch. Każdy poszum, górą idący i każdy odgłos puszczy przyjmuję za zbliżającą się zwierzynę.

Zmierzch już na dobre siniec zaczął, kiedy wreszcie nadszedł upragniony zwiastun nadlotu. Usłyszałem dziwny, suchy, metaliczny, głęboki z gardła odgłos:— *Hong'r... hong'r...* Przypłaszczyłem się do ziemi, wstrzymując oddech w piersi.



Anser branta canadiensis.

Górą, na niebie, zobaczyłem idące gęsi — leciały wolno, zmęczone daleką podróżą. Nie wiem, czy to dym nadji, czy głuchy, przytłumiony dźwięk dzwonka na szyi końskiej wzbudził w nich podejrzliwość. Zapadały w znacznej odległości od mego schronu. Widziałem je dobrze. Opuściły się na lód przy brzegu jeziora — długoszyje zwiastunki nadchodzącej zimy. Cierpliwie siedzę w schronie i coraz częściej słyszę szybujące stada ptaków. Niektóre z tych ruchomych trójkątów, okrążywszy kilkakrotnie jezioro, nie zatrzymując się, szybują dalej, na południe, ku słonecznej Kalifornji. Wiadomo... gąski nietylko z tej części kontynentu Hollywood frapuje. Zaczynam ziębnąć w bezruchu. Mrok ziemię otulił i powoli zaczął się zlewać z otaczającym go praborem. Kilkogodzinne sterczenie na tej kępie, w pozycji mało podobnej do tej, jaką zazwyczaj przyjmują dżentelmeni w Manitoba-Klub, sącząc *whisky and soda*, zmęczyło mnie. W dodatku śnieg, który pod płaszczem, leżącym na ziemi, tajać zaczął, nieprzyjemną wilgocią wędruje mi po kościach.

Zniechęcony daremnem oczekiwaniem, postanawiam wypalić papierosa w pozycji wygodniejszej. Palę, ogrzewając żarzącym się papierosem to jedną, to drugą rękę. Zbieram porozkładane obok siebie na kępie części garderoby, zamierzając wyjść z łoziny, na dziś bowiem zrezygnowałem już ze strzału. Pozostało mi tylko zebrać tekturowe manekiny gęsi, kiedy znowu uszu moich dobiega szum skrzydeł. Ukrywam się w schronie i już nie *„hong'r"*, ale wyraźnie niebo gęganiem rozbrzmiewa. Unoszę głowę i przez pręty łoziny doskonale widzę, jak stadko, liczące 16 sztuk, krąży tuż nad wabikiem. Z największą ostrożnością sięgam po dubeltówkę i w momencie, kiedy ptaki zaprzestają skrzydłami miarowo, rytmicznie pracować,

planując, szybko naciskam cyngiel dwururki, mierząc kolejno w ostatnie, najbliżej mej kryjówki zapadające ptaki.

Jedna spadła, puchem swej piersi głucho stuknąwszy o kruchy lód między kępami, tuż obok mego schronu. Drugą, zbarczoną, natychmiast dostrzeliłem.



Ojciec Bernard z młodocianym parafjaninem.

Obydwie sztuki *branta canadiensis*, czarnogłowe, o długiej szyi, podgardle z białą plamą, jakby chustką podwiązane, o bronzowym grzbiecie i nieco jaśniejszej piersi. Gęsi te, aczkolwiek noszą nazwę *Canada geese*, są dość rzadkie w tej części kontynentu amerykańskiego. Następne dni, które spędziłem nad tem jeziorem, dały nikłe rezultaty. Świtem następnego poranka usiłowałem podczołgać się pod stado, które pierwsze zwieczora na lodzie usiadło. W ciągu nocy ptaki zmieniły jednak miejsce przebywania i z lodu weszły na swamp-błoto. Późno je zauważyłem i w momencie, kiedy zacząłem pełznąć ku nim, miały już szyje czujnie ku górze uniesione—zerwały się w chwili, kiedy byłem w dużej od nich odległości i poszybowały na południe.

Wieczór tego dnia był również mało owocny. Strzeliłem kilkanaście razy do płynących górą ptaków, ale rezultaty miałem wyjątkowo słabe. Warunki świetlne były nad wyraz niesprzyjające. Śnieg prószył i jakaś dziwna poświata panowała. Smutny, szary, długi zmierzch, wirujące w powietrzu gwiazdki śnieżne i ciemny krąg puszczy wokół mnie, w tej cudownie pięknej, przeczystej atmosferze prawdy, jaką tylko natura nas darzy, nastrajały mnie tęsknie i marząco. Noc wyiskrzała się.

Myślałem o dalekim kraju, o zbliżającej się w Polsce jesieni, o smugach pól, podorywą już czerniejących, o szmaragdowym kolorze koniczyn, o wrzosowiskach, tchnących miodem, o rojstach wileńskich, o furkotliwych cietrzewiach, o tej porze już doskonale wyfarbowanych. W Karpatach buki zaczynają się już złotem przyozdabiać, lasy jeszcze rozbrzmiewają świergotem ptactwa, jarząbek w leszczynie pogwizduje. Ciepło w Polsce. Zielenieją jeszcze łąki, popstrzone bielą boćków, zaczynających dopiero o odlocie przemyśliwać, skowronek dzwonkiem srebrzystym niebiosa haftuje. Tu — prabór, głusza i cisza, lutą zimą już skute, bielą całunu śnieżnego powleczone. Tęskno za krajem i smutno. A tak daleko, okrutnie daleko. Nigdy może tak dobrze nie rozumiałem tęsknoty babuleńki z Beau Sejour, jak obecnie. Tak, boćka niema tu. Nigdy go nie było i nigdy tu nie zawita...

A może tylko po licznych pudłach przyszły reminiscencje, mazgajstwo i ta budząca się, jedna z najstraszliwszych chorób na obczyźnie — nostalgja...

(D. c. n.)

M. G.

ZMNIEJSZENIE SPRAWNOŚCI STRZELECKIEJ U LUDZI STARSZYCH.

(Odpowiedź zainteresowanym).

Zapatrywanie, jakoby dymny proch z powodu szybkiego spalania się dawał większą chyżość wylotową, niż bezdymny — i wskutek tego myśliwi, przyzwyczajeni do dymnego prochu, za mało „zakładając" przed biegnącą lub lecącą zwierzyną, chybiali, nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy o tyle, że chyżość wylotowa śrutu pod działaniem prochu dymnego (przy normalnej długości lufy, t. j. około 75 cm) jest mniejsza, niż pod działaniem prochu bezdymnego — a mianowicie pierwsza wynosi: Vo dymn. = 320 m/sec., — druga: Vo bezdymn. = 345—360/sec. Należałoby zatem przy używaniu prochu bezdymnego raczej m n i e j zakładać, niż przy prochu dymnym.

Jednak te różnice chyżości grają b. małą rolę, bo najnowsze badania wykazały, że przy strzale śrutowym różnica w chyżości o kilkanaście m/sec jest, jeśli chodzi o p e n e t r a c j ę, bez znaczenia, (przebija np. na 35 m śrutem Nr. 6, średnicy 2,5 mm tę samą ilość tekturek), a jeśli chodzi o t r a f i e n i e celu ruchomego, jest ta różnica również bez wpływu, bo przecież trzeba wziąć po uwagę, że nabój śrutu po wyjściu z lufy nie leci, niby rój pszczół, w formie kulistej, lecz rozciąga się wgłąb, przypominając odwrócony ogon komety. To ugrupowanie śrutów wgłąb jest dosyć znaczne; i tak odległość między pierwszym a ostatnim śrutem wynosi:

w	9 metrze	=	3.5 m
„	18 „	=	5.0 „
„	28 „	=	7.5 „
„	36 „	=	10.0 „

Jeżeli więc strzelec „nałoży" za dużo, to pierwsze śruty przelecą wprawdzie przed celem — ale następne trafią go*).

Dlatego w różnicy chyżości wylotowych nie należy szukać prawdziwych przyczyn, dla których starsi wiekiem myśliwi gorzej strzelają, niż za młodych lat. Szukać ich należy gdzieindziej, a jest ich bardzo wiele.

Jedną z głównych, a naogół tylko powierzchownie znaną, jest z m i a n a u s t r o j u f i z j o l o g i c z n e g o (t. j. nerwów) u myśliwego, przychodząca z wiekiem. Sprawa przedstawia się mianowicie tak, że strzelec, uchwyciwszy właściwy moment do oddania strzału, daje równocześnie zapomocą mózgu i nerwów rodzaj „telefonicznej depeszy" do palca, znajdującego się na cynglu, by spowodował wystrzał;

przekazanie tego rozkazu z mózgu do palca wymaga jednak c z a s u*).

Anglik Dr. Tlemming wykazał, że czas ten wynosi 0.1 — 0.6 sekundy, w którym to czasie np. zając przebiedz może 0.6 — 3.6 metra. — Niemcy w „Stacji prób balistycznych" w Halensee, badając tę sprawę z wrodzoną im dokładnością, stwierdzili, że nawet k o l o r celu gra tu rolę, co zresztą każdy oftalmolog dziś potwierdzi.

Dużą rolę odgrywa tu temperament strzelca, a ten problem fizjologiczny jest wogóle rzeczą i n d y w i d u a l n ą. Czyż można się dziwić, że u l u d z i s t a r s z y c h t e n „t e l e g r a f" m i ę d z y m ó z g i e m a w s k a z u j ą c y m p a l c e m f u n k c j o n u j e w o l n i e j, n i ż g d y b y l i m ł o d y m i?

Dalej należy szukać przyczyny w o s ł a b i e n i u w z r o k u (nie dość szybka zdolność spostrzegania), co powoduje, że strzelec, chcąc widzieć lepiej cel, celuje p o d niego.

Dalsza przyczyna chybiania u starszych ludzi może leżeć w z m i a n i e b u d o w y c i a ł a. Weźmy np. myśliwego, który zamłodu był dobrej tuszy, a z wiekiem zeszczuplał; pełna twarz schudła, muskuły ramienia, ongiś atletyczne, zwiotczały — i łoże strzelby, które za młodych lat doskonale odpowiadało — dziś jest już za „krótkie", za „kolbiaste" i zanadto „wycięte".

*) Obszerniej o tem — patrz broszurka: „Sport strzelecki i jego trening", Warszawa, 1926, Bibljoteka i wydanie Związku Strzeleckiego.

Odwrotnie ma się rzecz, gdy zamłodu szczupły strzelec na starość utyje. Takich przyczyn możnaby jeszcze więcej naliczyć.

Aby ten problem rozwiązać, trzeba go traktować w każdym pojedyńczym wypadku i n d y w i d u a l n i e i zbadać, czy strzały padają z a, p r z e d, n a d lub p o d cel.

Zbadanie indywidualne najlepiej przeprowadzić, strzelając do r u c h o m e j (!) tarczy śrutem na 30 kroków; gęsty obraz śrutów na tę odległość wykaże najlepiej, gdzie uderza środek „snopa". Wedle tego można absolutnie trafnie ustalić, w czem leży przyczyna chybiania i usunąć ją. Gdy strzały leżą p r z e d lub p o z a celem — to strzelec „zakłada" prawdopodobnie niewłaściwie (za dużo, lub za mało); gdy strzały leżą n a d lub p o d celem, to wadliwe jest łoże.

Zaimprowizowanie ruchomej tarczy jest b. łatwe: 2 słupki, wkopane w ziemię, 20 m oddalone od siebie, połączone ze sobą 3 m/m drutem, 1,80 nad ziemią, na nim 2 „rolki", sztywno ze sobą dwoma listewkami złączone (t. z. „worek"), na którym zawieszony jest kawałek lekkiej deski; do niej przyczepia się tarczę papierową (wystarczy stara gazeta!) Wprawienie w ruch uskutecznia się długim szpagatem, przywiązanym do jednej z rolek, wzgl. do wózka.

Już kilku myśliwym, którzy notorycznie źle do zajęcy strzelali, pomogłem tą metodą do odkrycia przyczyny chybiania i do poprawy sprawności strzeleckiej.

W. M.

HUMOR MYŚLIWSKI.



Z KAJECIKA SYNKA MYŚLIWEGO:

1. Słonka już zaczyna chrapać.
2. Oto jest koniec cieczki u lisów.
3. Tego głuszca pięknie zasadzili.
4. Łosie już noszą nowe łopaty.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 13 MAJA R. 1936.

Obecni p. p.: Przewodniczący Wacław Szperling, Red. Walenty Garczyński, Dyr. Bohdan Gędziorowski, Dr. Ignacy Grymiński, Inż. Herman Knothe, Inż. Karol Rotkel, Inż. Henryk Sosonko, Mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokółował Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 kwietnia r. b.
2. Sprawy Delegatów Powiatowych.
3. Odznaczenia.
4. Sprawy bieżące.
5. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 kwietnia r. b. zatwierdzono bez poprawek.

Zgodnie z wnioskami Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, mianowani zostali Delegatami Związku:

w województwie krakowskiem:

na powiat Kraków — Laskowski Zdzisław, Insp — Kraków, Urząd Wojewódzki, Walter Mieczysław, Inż. — Wieliczka, Biskupice;

na powiat Tarnów — Nowak Witold — Ciężkowice, Kąśna Dolna;

na powiat Wadowice — Wężyk Michał — Wielkie Drogi, Paszówka;

w woj. lwowskiem:

na powiat Gródek Jagielloński — Gołuchowski Hr. Jan — Janów, Tyszkiewicz Hr. Stanisław, Dr. — Lelechówka k/ Janowa, Stanka Jan — Wiszenka, Zawidowski Jerzy — Gródek Jag., Zawidówka;

na powiat Jarosław — Mycielski Hr. Franciszek — Pruchnik, Węgierka;

na powiat Przeworsk — Zwoliński Stanisław — Grodzisko, Zmysłówka;

na powiat Rawa Ruska — Romer Stefan — Uhnów, Wierzbica;

na powiat Rzeszów — Jarochowski Joachim — Czudec, Babice, Łastowiecki Antoni — Jawornik Polski, Hadle Szklarskie;

na powiat Sanok — Domański Stanisław, Dr — Sanok, Myczkowski Jerzy — Besko, Potocki Hr. Stanisław — Rymanów;

na powiat Sokal — Biliński Stanisław — Tartaków, Szarpańce, Kosiński Tomasz — Uhrynów, Starogród, Madyeski Jan — Parchacz, Sielec;

na powiat Tarnobrzeg — Piwocki Hipolit, Inż. — Rozwadów, Rzeczyca;

w województwie stanisławowskiem:

na powiat Dolina — Dziułyński Jerzy, Inż. — Dolina;

na powiat Kołomyja — Kawalec Tytus, Dr. — Kołomyja, Sąd Okręgowy;

na powiat Kosów — Dobiecki Józef, Inż. — Żabie;

na powiat Tłumacz — Rozwadowski Franciszek — Bednarów, Babin;

w województwie tarnopolskiem:

na powiat Podhajce — Niemczycki Leon — Podhajce, Romanowski Aleksander — Horożanka, Żyborski Witold Wiśniowczyk;

na powiat Zbaraż — Fedorowicz Bolesław — Zbaraż, Kasa Komunalna.

Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydaturę Sen. Płk. Józefa Taubego (Radzymin, Jaktory) — na Delegata Związku na powiat Radzymin województwa warszawskiego.

Wniosek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego" o nadanie ś. p. Janowi Sztolcmanowi najwyższego odznaczenia łowieckiego „Złomu" — Wydział Wykonawczy uchwalił złożyć Zarządowi Związku z poparciem.

Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej —

Bolesławowi Bułharowskiemu i Stanisławowi Truchanowiczowi, Delegatom Związku na powiat Lida województwa nowogródzkiego — za wybitną działalność ideową na polu łowiectwa

Przyjęto do wiadomości podziękowanie Inż. Janusza Zajączkowskiego za nadanie mu Srebrnego Medalu Zasługi Łowieckiej.

Zgodnie z postanowieniem Zarządu Związku z dnia 22 marca r. b., złożony został P. P. Ministrom: Rolnictwa i Reform Rolnych, Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Komunikacji oraz Przemysłu i Handlu — projekt wprowadzenia obowiązku plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do handlu.

Wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich o wystąpienie do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie zmiany blankietów kart łowieckich, aby na blankietach tych drukowane były aktualne terminy ochronne, lub też aby dodawane były przez władze administracyjne bezpłatnie druczki z aktualnemi terminami — Wydział Wykonawczy postanowił przedłożyć Zarządowi Związku z poparciem.

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich nadesłało Związkowi odpis protokółu zjazdu Delegatów Powiatowych z województw nawogródzkiego i wileńskiego z dnia 29 marca r. b., oraz wypowiedziało się w sprawie uchwalonych na zjeździe tym wniosków. Wydział Wykonawczy postanowił wnioski zreferować na posiedzeniu Zarządu Związku.

Wydział Wykonawczy upoważnił prezydjum Komisji Głównej Strzelań Myśliwskich w osobach p. p. Janusza Regulskiego i Bohdana Gędziorowskiego — do zawarcia i podpisania w imieniu Związku umowy z Bractwem Strzelców Kurkowych w Warszawie w sprawie budowy strzelnicy myśliwskiej na Szczęśliwicach.

Na wniosek Komisji Głównej Strzelań Myśliwskich, zatwierdzono termin narodowych zawodów w strzelaniach myśliwskich, urządzanych po raz pierwszy samodzielnie w dniach 10, 11 i 12 lipca r. b. w Warszawie.

Wydział Wykonawczy upoważnił Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego" do ogłoszenia dorocznego konkursu fotograficznego, przeznaczając na nagrody kwotę zł. 400.—, bezpłatną prenumeratę „Łowca Polskiego": roczną — 7 egzemplarzy i półroczną — 3 egzemplarze, oraz żetony.

Zatwierdzono uchwałę Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego" z dnia 7 maja r. b. o automatycznem wykreśleniu członków tegoż Komitetu, zamieszkałych w Warszawie, którzy bez usprawiedliwienia opuszczą trzy kolejne zebrania.

Komitet Organizacyjny Ogólnokrajowej Wystawy „Nasze lasy i ochrona przyrody" we Lwowie nadesłał Związkowi zaproszenie do udziału w Wystawie Łowieckiej, organizowanej przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie. Pismo to postanowiono przedstawić Zarządowi Związku z wnioskiem o poparcie na Walnem Zgromadzeniu. Postanowiono nadto zamieścić w „Łowcu Polskim" komunikat w tej sprawie.

Postanowiono podziękować p. Mieczysławowi Mniszek-Tchorznickiemu za ofiarowanie na cele Związku 100 egzemplarzy broszury p. t. „Próba uporządkowania bibljografji łowieckiej w odrodzonej Polsce".

ZAWIADOMIENIA TERMINOWE.

PRZEZ MIKROFON.

W dn. 1 b. m. rozgłośnia warszawska Polskiego Radja nada o godz. 17.50 — 18.00 pogadankę p. Jerzego Dylewskiego p. t. „Myśliwy i jego pies".

WYSTAWA ŁOWIECKA WE LWOWIE.

We wrześniu b. r. odbędzie się we Lwowie Wystawa „Nasze lasy i ochrona przyrody", równocześnie z którą, jako osobny dział, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie organizuje, z okazji 60-letniego jubileuszu swego istnienia, wystawę łowiecką.

Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, na posiedzeniu w dn. 23 maja b. r. postanowił imprezę tę poprzeć, przyłączając jednocześnie do Wystawy M. T. Ł. ogólnokrajowy IV pokaz trofeów łowieckich za lata 1934 — 1936.

Wszelkich informacyj udziela w sprawie wystawy Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, Lwów, w sprawie IV pokazu — P. Z. S. Ł., Warszawa, Nowy Świat 35.

MUSZTARDA PO OBIEDZIE
I... DWA GRZYBY W BARSZCZU.

Wszystkim stałym czytelnikom wiadomo chyba dokładnie, że od szeregu lat „Łowiec Polski" ukazuje się trzy razy w miesiącu, t. j. 1-go, 10-go i 20-go.

Dla obeznanych choć cokolwiek z techniczną stroną wydawania perjodyków — a nawet dla laików w tym dziale, którzy jedynie ze słyszenia mają o tem pojęcie — nie jest tajemnicą i to także, że na sformowanie redaktorskie, następnie korektorskie i wreszcie drukarskie numeru, potrzebny jest jakiś czas.

Czasopisma o większej objętości druku od dzienników, ozdobne, drukowane farbą ilustracyjną, — zbierane przez prenumeratorów w roczniki — muszą z konieczności rozporządzać znacznie większym przeciągiem czasu na to wszystko, niż pisma codzienne, używające przytem wsiąkliwego papieru gazetowego. W tygodnikach ozdobnych sam proces schnięcia kolorowych okładek, to cała doba, a każdego arkusza treści — przynajmniej 6 — 10 godzin; dopiero wówczas nastąpić musi praca introligatora, a w następstwie administracja pisma może się zabrać do wysyłki numeru prenumeratorom, co również zajmuje cały dzień. Zwykle, gdy nic wyjątkowego nie stanie na przeszkodzie, ekspedycję wykonywa się o dwa dni wcześniej od daty, którą nosi na sobie numer, ażeby już w dniu ukazania się dostał się do rąk czytelnika w całym kraju.

To wszystko, dobrze ocenione i zrozumiane, nie powinno być lekceważone przez tych wszystkich, którzy mają coś terminowego do powiedzenia w danem piśmie: czy będzie to aktualny artykuł, czy pilne ogłoszenie handlowe, czy też ważny, terminowy komunikat, jak w „Łowcu Polskim" o zebraniu, wystawie, konkursach, zawodach, wycieczce, audycji radjowej i t. p.

Jeżeli jakieś pismo ma w środowisku swych czytelników, a w zakresie ich zainteresowania, dobrze spełniać swe zadanie informacyjne dla ogółu, to w danym razie koniecznem jest, aby osoby, instytucje, firmy i t. d., które posiadają w tem jakiśkolwiek interes własny, a interesem tym są związane z pismem, które najchętniej i zawsze służy swemi łamami — liczyły się z technicznemi możliwościami tego pisma, a przedewszystkiem z terminami jego ukazywania się i odsyłały przeznaczony do druku materjał w porę.

W przeciwnym razie będzie to zawsze przysłowiową musztardą po obiedzie.

Weźmy dwa ostatnio aktualne przykłady. W dniu 22 maja b. r., t. j. gdy numer z dn. 20 maja już był u prenumeratorów, redakcja nasza otrzymała:

1) „Program obchodu uroczystości otwarcia sezonu strzelnicy Bractwa Kurkowego w Warszawie w dniach 31 maja i 1 czerwca 1936 r."

2) Zawiadomienie o urządzeniu we Lwowie w czasie od 17.V. do 1.VI (wraz z katalogiem) „Wystawy fotografij przyrodniczych i myśliwskich Włodzimierza Puchalskiego", znanego fotografa - artysty w dziale łowieckim, niejednokrotnie nagrodzonego na konkursach fotograficznych „Łowca Polskiego".

Najprawdopodobniej w obu tych wypadkach (jak i w wielu innych podobnych, jakie zdarzają się w tym sensie prawie na porządku dziennym) organizatorom imprez zależało na tem, aby o tych ich zamierzeniach dowiedział się naprzód szerszy krąg jednostek, interesujących się różnorodnemi działami łowiectwa, zapomocą prasy łowieckiej, do dziś prawie wyłącznie jedynej, która podobne informacje zamieszcza.

Mógłby ktoś i redakcji zarzucić zbyt małą żywotność w kierunku poszukiwania interesujących czytelników wiadomości. Z jednej strony ma to pozory pewnej racji, trzeba jednak pamiętać także i o tem, jak małemi środkami materjalnemi przy dużym wysiłku pracy jednostek rozporządza redakcja, ażeby zrozumieć, że zarzut tego rodzaju skierowany być do niej nie może.

Jeżeli Koło Dublańczyków (organizatorów wystawy), czy p. Puchalski, nie spostrzegli, że „Łowiec Polski", mając nadesłane zawiadomienie 22 maja, mógłby je dopiero umieścić po wystawie — 1 czerwca, można się temu mniej dziwić, gdyż widać, sami nie prenumerując naszego pisma, zapomnieli dowiedzieć się o datach jego ukazywania się. Zresztą impreza odbywa się na terenie Małopolski, w jej stolicy, gdzie piśmiennictwo łowieckie reprezentuje organ Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego „Łowiec", a zwiedzającymi wystawę fotograficzną we Lwowie będą z porządku rzeczy głównie lwowianie i okoliczni miłośnicy dobrej fotografji.

Co innego już z imprezą Bractwa Strzelców Kurkowych, odbywającą się w Szczęśliwicach, a więc w granicach Wielkiej Warszawy... Innym też jest sam charakter imprezy, jako dorocznego święta otwarcia strzelnicy, na które zjazd zwykle bywa liczny, a zawodnicy ściągają często z różnych stron kraju.

Czyżby Bractwu Strzelców Kurkowych nie zależało na wcześniejszem ogłoszeniu o urządzanych przez siebie zawodach w „Łowcu Polskim"?

Czyżby Bractwo nie posiadało ścisłego kontaktu z działającą z ramienia P. Z. S. Ł. Komisją Główną Strzelań Myśliwskich?

*

I jeszcze jedno: impreza Bractwa została wyznaczoną na ten sam dzień 31 maja, w którym odbywać się będą ogólno-krajowe zawody w strzelaniu do rzutków, urządzane przez Państwową Wytwórnię Prochu Pionki — w Pionkach pod Radomiem— które cieszyły się już w roku zeszłym bardzo liczną frekwencją, a zaimponowały doskonałą organizacją.

Z powyższego względu było nader wskazanem, żeby Komisja Główna S. M. użyła była swego wpływu, aby w tym wypadku uniknąć... „dwóch grzybów w barszczu". Jasnem jest bowiem, że wielu zawodników i tu i tam mogłoby pragnąć stanąć do współzawodnictwa. Zresztą, pomijając strzelanie do rzutków, które w Szczęśliwicach (jak widać z programu) nie stoi na naczelnem miejscu uroczystości na strzelnicy, wielu zawodników staje do zawodów kulowych i śrutowych, aż do rzutków włącznie, a w Pionkach zawody tegoroczne są, jak i rok temu, dostatecznie ciekawe i frapujące w dziale rzutków — wyłącznie, podczas gdy Bractwo przedewszystkiem organizuje zawody kulowe do tarcz i ruchomej zwierzyny.

Kto, dlaczego i poco ten barszcz o dwóch grzybach nawarzył — niepodobna osądzić.

Czyżby P. W. P. Pionki nie zgodziła się na przesunięcie swych zawodów o jeden tydzień wstecz, lub naprzód — skoro Bractwu Strzelców Kurkowych było potrzeba dla wykonania całego programu nie jednego, lecz dwóch dni świątecznych z rzędu?

Ale co na to Komisja Główna S. M., która przecież jedynie jest w mocy te rzeczy uzgodnić, występując w imieniu swych członków — zawodników?

WŁ. Z.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Leopold Pac-Pomarnacki: *Historja Ogrodu Zoologicznego w Wilnie.* Wilno 1936. Stron 16; fotografij 9. Cena 1.20 zł.

W eposie „Herman und Dorothea" pisze Goethe, że każdy początek jest trudny, lecz początek gospodarstwa — najtrudniejszy. Zaiste ciężkie były początki ogrodu zoologicznego w Wilnie — ciężkie od 1926 r. i z małemi zmianami pozostały ciężkiemi aż do ostatnich niemal dni.

Walka o każdy grosz dla instytucji, z której bezpłatnie korzystały tysiączne rzesze młodzieży szkolnej, odrabiającej lekcje przyrody na żywych okazach, brak miejsca na ustawienie nowych pomieszczeń były powodem nieprzyjmowania nadsyłanych, a potrzebnych okazów. Przytem frekwencja publiczności była słaba.

Ilekroć razy byłem w Wilnie, stale odwiedzałem ogród zoologiczny. Zbudowany byłem porządkiem, jaki tam panował, umiejętnem rozmieszczeniem klatek na niewielkim placu, lecz z drugiej strony zdziwiony byłem brakiem poparcia tej instytucji przez miejscowe społeczeństwo, co uwydatniało się stałą pustką płatnych zwiedzających.

Wszystko to mogło było stać się największą przyczyną, aby opuścić ręce i jak to mówią — machnąć na całą robotę. Lecz działali tu ludzie o silnych charakterach, nieprzyzwyczajeni łatwo dawać za wygraną. Przekonywamy się o tem w 1932 r., kiedy nad Wileńskim Ogrodem Zoologicznym zawisł faktycznie miecz Demoklesa, w postaci widma kryzysu. Ustały dary, urwały się dotacje, zabrakło groszy na zimową ściółkę, na węgiel i drzewo do opalania budynku, w którym pomieszczono okazy wrażliwe na mrozy, a rakarnia miejska przy

tych kłopotach — wystawiała słone rachunki. Zdawało się, że sześcioletnia praca i włożone pieniądze pójdą na marne. Likwidacja...

A jednak ludzie Wileńszczyzny są uparci; zacisną zęby i po grudach idą do celu. Powołano do życia Towarzystwo Przyjaciół Ogrodu Zoologicznego w Wilnie, które swemi składkami i energiczną pracą umożliwiło dalsze istnienie instytucji. W roku 1933/34 Zarząd Miejski wstawił do budżetu sumę 1.200 zł. na cele ogrodu oraz zatwierdził pobory dozorcy, opłacanego również z sum miejskich.

Dzięki radju i prasie, sprawa wileńskiego ogrodu zoologicznego stała się popularną wśród szerokich, kulturalnych rzesz miejscowego społeczeństwa. Praca nad otrzymaniem nowego placu dla przeniesienia — nie ustawała. Wreszcie po czterech latach, zdawało się beznadziejnych starań, licznych wyjazdów na oględziny rozmaitych terenów, trudów nieopisanych, konferencyj i komisyj, otrzymało Towarzystwo w dzierżawę w marcu b. roku, t. j. w dziesięcioletnią rocznicę powstania ogrodu — nowy teren miejski, położony między ulicami Polową i Sióstr Miłoiserdzia na Antokolu. Prace przygotowawcze do przeniesienia zwierząt już rozpoczęto.

Każdy przyjeżdżający do Wilna myśliwy powinien zwiedzić ten ogród, który posiada jelenia, 4 sarny, 2 dziki, 2 wydry, 2 borsuki, 6 lisów, 6 wilków, 5 tchórzów 3 jeże, 6 wiewiórek, 5 świnek morskich, 2 króliki, zająca-szaraka i kilkanaście szczurów białych. Ponadto 7 małp. Ptaki reprezentują: 3 czaple siwe, 3 żórawie, bąk, 2 łabędzie, 5 białych bocianów i 2 czarne, 3 kaczki kryżówki, 2 cyranki, mewa, orlik-bielik, 3 orliki krzykliwe, 2 myszołowy, 2 błotniaki, 3 pustułki, krótkoszpon, gołębiarz, 3 puhacze, 2 puszczyki, sroka, wrona, 2 kruki, 2 kawki, kogut i 2 kury bażantów, 2 pentarki i pawica. Razem znajdujemy tu 40 gatunków, reprezentowanych przez 105 okazów. Pozatem ogród posiada dwa terrarja, w których chowane są 3 żółwie greckie 10 żółwi krajowych, salamandry plamiste i czarne, wreszcie wąż zaskroniec. Jest to więc już instytucja poważna, mozolny i pożyteczny dorobek ludzi poświęcenia, godny opieki ze strony wszystkich władz wileńskich i całego miejscowego społeczeństwa, aby odpowiedział potrzebie i godności uniwersyteckiego miasta.

Autor, znany pisarz łowiecki, sekretarz T-wa Przyjaciół Ogrodu Zoologicznego, podaje w swej broszurze historję powojennego ogrodu w Wilnie. Praca ta posiada też wartość, jako przyczynek do przyszłej monografji Wilna, wartość tem większą, że wyszła z pod pióra osoby, silnie zainteresowanej omawianą sprawą.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

OSTERREICHS WEIDWERK

Nr. 4/1936, str. 49. H. Heinz *„Parkoty i lęgi zajęcze"*. — Pomimo rozpowszechnienia i powszedniości zwierzyny zajęczej, nie wszystko o niej jest dokładnie znane. Weźmy np. stosunek płci u zajęcy. Obserwacja powierzchowna zajęcy podczas parkotów daje wrażenie, że ilość gachów jest conajmniej 3 do 4 razy większą, niż samic, gdyż przy każdej samicy widać zwykle po kilka samców. Sądzę, że to jednak wniosek błędny, ponieważ dokonywane często o tym czasie łowienie zajęcy w sieci dla odsprzedaży wykazuje stosunek płci jak 1:1, rzadko 1:1,5 dla samców. Obserwowana przewaga samców w okresie parkotów tłomaczy się tem, że samice grzeją się nie o jednym czasie, wobec czego przy części już dojrzałych do parzenia się samic gromadzą się wszystkie gachy danej okolicy.

Również mało uzasadnionem jest twierdzenie, iż przy polowaniach z naganką pada więcej samców, zaś na polowaniach ławą, lub na pomyka — więcej samic. Dla autora nie podlega wątpliwości fakt, że obie płcie zachowują się zupełnie jednakowo w obliczu niebezpieczeństwa, zaś odmienne twierdzenia wypływają z trudności powierzchownego rozróżniania płci dlatego, że poza okresem rui jądra gacha tak się wciągają w jamę brzuszną, że nie sposób ich wyczuć. Innem, również niedostatecznie ocenianem zjawiskiem, jest specjalna skłonność zajęcy do wynaturzania się i do chorób zaraźliwych. Zając jest stworzeniem ściśle związanem z miejscem pobytu i nie zna żadnych wędrówek. Stąd wypływa ciągłe krzyżowanie się z sobą rodzeństwa, a w wyniku — degeneracja, wyrażająca się zarówno w karłowaceniu, jak i w małej odporności na zarazy. Daje się to szczególnie zauważyć na terenach łowieckich t. zw. kulturalnych, gdzie o karmę jest łatwo, a gdzie dawno wytępiono, lub przynajmniej mocno przetrzebiono drapieżniki czworonożne i skrzydlate. Zając tam jest mały, słaby i przy zawleczeniu choroby — ginie setkami. Inaczej już jest w miejscowościach lesistych i górskich, gdzie zajęcy jest mniej, bo trzebią je wilki, orły i puhacze, ale zato pozostałe okazy są wyrośnięte, silne i odporne na choroby. Spostrzeżenie to wskazuje na konieczność odświeżania krwi w łowiskach kulturalnych przez regularne, coroczne wpuszczanie zajęcy z okolic dalszych i, jeżeli można, z okolic, posiadających gorsze warunki odżywiania i klimatu, niż je posiada dane łowisko.

Jeżeli chodzi o inne spostrzeżenia z życia zajęcy, to pamiętać należy, że zajęczyca koci się do 4-ch razy w ciągu roku. Pierwszy miot, następujący po upływie 4 tygodni od chwili zapłodnienia, daje t. zw. marczaki, których chów nastręcza matce najwięcej kłopotu z powodu niesprzyjających warunków klimatycznych i odżywiania. Zato myśliwym dostarcza on na jesieni zajęcy zupełnie wyrośniętych, a hodowcom — najlepszy materjał rozpłodowy. Drugi i trzeci miot są zwykle liczniejsze, niż pierwszy i odbywają się w dogodnych warunkach pożywienia i ochrony. Zające z ostatniego, czwartego miotu, są dla rozkładów jesiennych bez wartości i powinny być oszczędzane.

Zajęczyca karmi małe mlekiem w ciągu 20 dni i jest ciekawe, że na czas karmienia nigdy nie podchodzi do miejsca, gdzie się kryją małe, ale przywołuje je specjalnym kłapaniem słuchów. Ma to na celu ochronę małych zajączków w gnieździe przed drapieżnikami, gdyż — jak to stwierdzić może każdy myśliwy, posiadający psa — młode zające nie dają prawie zupełnie odwiatru, wobec czego mogą bezkarnie opuszczać i powracać do gniazda, wówczas gdy ślad matki naprowadziłby wrogów na miejsce schronienia młodych.

WILD UND HUND

Nr. 62/1936, str. 1061. Lueder „ *W sprawie ochrony cietrzewia"*. Jeden z lepszych obserwatorów życia ptaków łownych, p. J. Wirtz, zamieścił w zesz. 30 „Deutsche Jagd" obszerny artykuł poświęcony cietrzewiom. Podnosząc fakt dużego zmniejszenia się ilostanu cietrzewi w Europie Środkowej, p. Wirtz przychodzi do wniosku, że poprawę dać może tylko powzięcie radykalnych środków, za jakie uważa: odstrzał starych jałowych kur cietrzewich oraz strzelanie do kogutów tylko na jesieni, z pod psa, a nie na tokach wiosennych. P. Lueder nie zgadza się ani z jedną, ani z drugą propozycją. Przeciwko pierwszej — poza trudnością odróżnienia starej kury od młodej w locie — przemawia fakt, niekwestjonowany także przez Wirtza, że stosunek kur do kogutów jest u cietrzewi bardzo mały — przeciętnie na jedną kurę przypada trzy koguty. Kur niepokrytych nie bywa przeto wcale, a więc nie zachodzi obawa o jakieś walki o samca i o masowe odpędzanie młodych kur przez stare w okresie godów.

Potwierdzają to obserwacje podczas toków, gdzie nikt nie zauważył zamieszania i walk wśród kur. Co się tyczy odstrzału kogutów, to czar wiosennych polowań na tokach nie może się równać z polowaniem jesiennem na młode murzyny, kiedy się strzela najczęściej do niecałkiem niewypierzonych jeszcze ptaków i gdzie prawie niemożliwem jest dokładne rozróżnienie płci w stadzie, zrywającem się w krzakach. Dlatego też autor, stając w obronie polowań wiosennych, proponuje wyjście kompromisowe — ustalania kontyngentu odstrzału kogutów cietrzewich na danym terenie w zależności od zwierzostanu i pozostawienie następnie do uznania myśliwego strzelania kogutów bądź na wiosnę na tokach, bądź na jesieni z psem.

Nr. 62/1936, str. 1066. G. von dem Hagen *„Postępujcie po myśliwsku ze słonką!"*. — Autor powstaje przeciw stosowaniu w niektórych miejscowościach Niemiec polowania wiosną na słonki z naganką lub z psem. Polowanie to wnosi do lasu wysoce szkodliwy moment hałasu i niepokoju w czasie, kiedy zwierzyna potrzebuje właśnie najwięcej ciszy i spokoju, bo zbiegającym się z okresem gniazdowania i lęgów. Pozatem, odwrotnie do tego, co się osiąga przy polowaniach na ciągach słonek, polowania z psem czy z naganką dają wśród ubitych słonek znacz-

ną przewagę samic nad samcami. Toteż za jedynie słuszne uważa autor strzelanie do słonek na ciągach i to z psem, dobrze aportującym, ale umiejącym twardo warować przy nodze, aby zwierzyny nie płoszyć, ale znaleźć ubitą czy postrzeloną i przynieść, zapobiegając jej zmarnowaniu.

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

W lasach Puszczy Iłżeckiej, stanowiącej własność Starachowickich Zakładów, na polowaniach w ubiegłym sezonie łowieckim ubito: 30 dzików, 8 rogaczy, 16 lisów, 684 zające, 4 kuny-tumaki.

Odebrano i padło zniszczonych przez wnykarzy i kłusowników, rogaczy 7, sarn 2, w czasie polowań zabiły się 1 rogacz i 1 sarna.

Charakterystycznem zjawiskiem dla istniejących stosunków w powiecie jest ujawnienie zniszczenia przez wnykarzy i kłusowników większej ilości sarn i rogaczy, aniżeli padło ich na polowaniach. Niewątpliwie, nie zważając na staranność administracji leśnej, ilość niewykrytych szkód jest wielokrotnie większą, nie mówiąc już o działalności „legalnych kłusowników", którzy dziesiątkują zwierzynę, przekraczającą granicę Puszczy. W ub. roku, po ukończonem rykowisku jeleni, starannie strzeżonem, gdy od lat 5-ciu ze względu na podniesienie zwierzostanu nie ubito ani jednego jelenia, przez kłusowników zostały podrzucone pod próg najbardziej starannemu objazdowemu odrąbane nogi jelenie. Jest to niewątpliwie dowcip wykrytych przezeń w roku ubiegłym sprawców zabicia jelenia.

Dnia 23 lutego, w czasie polowania na dziki, znajdujący się w miocie jeleń rzucił się na naganiaczy, raniąc rogiem w głowę jednego z nich, przytem tak dotkliwie, iż musiano go odesłać do szpitala po nałożeniu prowizorycznego opatrunku przez obecnego na polowaniu lekarza.

J. PIEROŻYŃSKI.

*

(-zet-) 1 marca b. r. gajowy Gerhard Houbis z Palowic na Górnym Śląsku spotkał w lesie ubrojonego we flower kłusownika, który na widok gajowego rzucił się do ucieczki.

Houbis ścigał uciekającego, wreszcie go schwytał i broń odebrał, nastąpiła jednak zażarta walka wręcz, w której kłusownikowi udało się powalić Houbisa, odebrać z powrotem flower i zbiedz. Narazie nazwiska kłusownika nie ustalono.

*

(-zet-) Dnia 11 marca gajowy Hildebrand z Pniowca (Górny Śląsk) natknął się wieczorem w lesie na kłusownika, który właśnie strzelił do zwierzyny.

Gajowy usiłował kłusownika zatrzymać i wylegitymować, nastąpiła jednak utarczka ręczna, która wypadła na korzyść kłusownika, gdyż oszołomił gajowego kilkoma uderzeniami rewolwerem w głowę i zbiegł.

*

(-zet-) Starostwo grodzkie wileńskie ukarało Izydora Kiczajłę, przyłapanego z bronią na kłusownictwie, grzywną zł. 50.— z zamianą na 14 dni aresztu.

*

(-zet-) Przed dwoma miesiącami policja jarosławska zdołała ująć sprawcę morderstwa strażnika łowieckiego Jurki Chodania, który zginął od strzału kłusownika podczas spotkania z nim w lesie w Ilchowej w listopadzie ub. r. i zbiegł wówczas bezkarnie pod osłoną nocy.

Zabójcą jest Stefan Solarz, kłusownik, który przyznał się do zbrodni, motywując popełnienie jej okolicznością działania w obronie własnej, wskutek wymierzenia doń broni przez jednego z patrolujących las strażników.

Śledztwo wykazało, że sprawa miała zupełnie inny przebieg, gdyż Solarz otrzymał postrzał z tyłu.

*

(-zet-) Dnia 12 marca r. b. sąd grodzki w Margoninie rozpatrywał sprawę karną, wytoczoną przeciwko w ó j t o w i g m i n y Szamocin, Kręgielskiemu, oskarżonemu o kłusownictwo.

Wobec udowodnienia winy, sąd skazał Kręgielskiego na grzywnę zł. 150.— z zamianą na miesiąc aresztu i koszty postępowania sądowego.

Sprawiedliwości w tym wypadku stało się zadość i czyn urzędnika samorządowego został napiętnowany i ukarany, lecz ileż to panów wójtów, sekretarzy gmin i t. p. „dostojników" kłusuje do dziś bezkarnie?

*

(-zet-) Sąd Okręgowy w Częstochowie rozpatrywał w dniu 16 marca b. r. sprawę przeciwko niejakiemu Antoniemu Ignasiakowi, mieszkańcowi wsi Grabarze, gm. Lipie, który odpowiadał z art. 261 k. k. za użycie karalnej groźby w stosunku do Franciszka Klicha, towarzysza gajowego Piotra Bilickiego, kiedy ci ostatni spotkali Ignasiaka na kłusownictwie i usiłowali odebrać mu broń.

Ignasiak faktycznie nietylko groził, lecz nawet pociągnął za cyngiel swej dubeltówki, na szczęście nabój, tkwiący w lufie, nie wypalił, dzięki czemu Klich uniknął śmierci i w pogoni za kłusownikiem w rezultacie go schwytał.

Sąd skazał Ignasiaka na 2 lata więzienia, przyczem połowę kary darował mu na mocy amnestji.

*

(*—zet—*) 11-go lutego r. b. na terenie państwowego leśnictwa Szadek w powiecie sieradzkim znaleziono w kałuży krwi gajowego Bolesława Bednarka z ciężkiemi ranami głowy i szyi. Pomimo natychmiastowej pomocy, B. zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Przeprowadzone dochodzenie miejscowej policji stwierdziło, że Bednarka zastrzelił znany kłusownik, Stanisław Piekarek, na tle zemsty osobistej, mianowicie za pochwycenie go swego czasu przez Bednarka na kłusownictwie, odebranie mu broni i oddanie w ręce policji. Zemsta nastąpiła niedługo po odbyciu przez Piekarka kary.

Piekarek strzelał z rewolweru. Rannemu odebrał strzelbę. Zbrodniarz przyznał się do zabójstwa, poczem niezwłocznie osadzono go w więzieniu do dyspozycji władz sądowych.

*

(—zet—) Sąd grodzki w Pszczynie rozpatrywał 11 lutego r. b. sprawę Oskara M. ze Studzionki, oskarżonego o kłusownictwo na terenie lasów ks. Pszczyńskiego. Pojmany on został przy zastawionej pułapce na bażanty.

Sąd nie dał wiary wykrętnym zeznaniom oskarżonego i skazał go na 3 tygodnie aresztu.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Sprawozdanie z polowań i wykaz ubitej zwierzyny użytkowej i drapieżnej w roku 1935 w dobrach Sielec i Baszków księcia Olgierda Czartoryskiego.

W roku 1935 odbyły się w Sielcu i Baszkowie następujące polowania:

W dniach 11 i 12 września polowano w Sielcu na pędzone kuropatwy — wyłącznie na nagankach.

Pierwszego dnia ubito 287 kur, 5 różnych, drugiego dnia ubito 522 kur, 2 różne. W polowaniu brali udział panowie: Arcyksiążę Karol Habsburg, Hr. Hr. Zygmunt Skórzewski, Jan Broel Plater, Wilhelm Hochberg, Konstanty Bniński, Pan Alfons Powlewski Koziełł. Ks. Ks. Jan Drucki Lubecki, Roman i Olgierd Czartoryscy.

W dniu 21 października polowano w ulewnym deszczu w laskach i remizach majętności Rembichów. Ubito 182 zające, 234 króliki, 210 kogutów, 16 kuropatw razem sztuk 642. W polowaniu brali udział: Arcyksiążę Karol Habsburg, Hr. Zygmunt Skórzewski, Eryk Kurnatowski, Ks. Ks. Janusz Radziwiłł, Roman i Olgierd Czartoryscy.

W dniu 22 października polowano znów w ulewnym deszczu w polu i lesie w Baszkowie. Na rozkładzie 355 zajęcy, 17 królików, 42 koguty, 83 kuropatwy: razem sztuk 497. Przerwano polowanie z powodu niepogody.

23 października polowano w 6 kotłach polnych w Sielcu przy złej pogodzie. Na rozkładzie 1.435 zajęcy, 2 króliki, 271 kogutów, 111 kuropatw; razem sztuk 1.819. W polowaniu brali udział panowie: Arcyksiążę Karol Habsburg, Ks Janusz Radziwiłł, Pan Artur Borzewski, Ambasador Lipski, Pan Stanisław Wyganowski, Hr. Konstanty Bniński, Generał Fabrycy, Hr. Zygmunt Skórzewski, Hr. Adam Starzeński, P. Eryk Kurnatowski, Hr. Kraft Henckel Donnersmarck, Ks Roman i Olgierd Czartoryscy.

Cyfra 1.819 jest powojennym rekordem.

Dnia 29 listopada polowano w ogrodzie w Sielcu: ubito 20 zajęcy, 143 króliki, 312 kogutów, razem sztuk 475.

30 listopada opolowano po raz drugi laski i remizy w Rembichowie i ubito: 76 zajęcy, 180 królików, 68 kogutów, 2 różne, razem sztuk 326.

W polowaniu brali udział panowie: Arcyksiążę Karol Habsburg, Poseł Szwedzki Boheman, Ks. Jan Drucki Lubecki, Hr. Jan Broel Plater, Ks. Ks. Piotr, Adam, Olgierd Czartoryscy.

Pozatem zostało ubitych w ciągu roku na podjazdach przez właściciela i gości, oraz przez urzędników leśnych i innych: 3 daniele byki, 2 jelenie, 34 rogacze, 27 kóz, 2 dziki (jeden duży odyniec zabity przez właściciela), dalej 900 zajęcy, 103 bażanty-koguty, 486 kuropatw, 517 królików, 13 słonek, 212 dzikich kaczek, 7 borsuków w bażantarni, 18 lisów, 4 kuny, 21 tchórzów, 30 łasic, 98 psów, 126 kogutów, 54 jastrzębi, 215 wron, 8 czapli, 69 różnych.

Razem ubito zwierzyny użytecznej 5.781 sztuk, zwierzyny drapieżnej 1.767 sztuk; ogółem 7.548 sztuk.

Obszar własnych łowisk wynosi: leśnych 3.560 ha, rolnych 2.000 h, razem 5.560 ha.

Obszar łowisk gminnych dzierżawnych wynosi: leśnych 560 ha, rolnych 5.920 ha, razem 6.480 ha, z których znaczna część dzierżawiona jest tylko dla ochrony i nie poluje się na niej wcale.

— W dniu 21. XII. 1935 odbyło się polowanie w maj. Nieczajna, wł. p. J. Turno. Opolowano 650 ha pola oraz 60 ha lasu i ubito: w polu 258 zajęcy w czterech kotłach, a w lesie 43 bażanty, 61 zajęcy, 24 króliki i dwa lisy — ogółem 388 sztuk. Silna okiść śnieżna w zagajnikach utrudniła pędzenia w Nieczajnie i przyczyniła się do poważnego zmniejszenia rozkładu bażantów. Bardzo dobre wyniki polowań w obu wymienionych łowiskach są wyłączną zasługą wybitnych hodowców w osobach p. Jana Morawskiego w Lulinie i p. Ludwika Jażdżewskiego w Nieczajnie, którzy, nie szczędząc trudów i nakładów pieniężnych, doprowadzili łowiska swe do stanu kwitnącego i przodującego w powiecie obornickim.

Inż. MARTYNIEC

— Uzupełniając sprawozdanie delegackie p. Wł. Gürtlera, podajemy do wiadomości jeszcze cyfrowe wyniki z polowań, które urządzało Rzeszowskie Tow. Myśliwych na swoich tylko terenach w czasie od 1.I.1935 (na kaczki, słonki, rogacze i t. p.) i od 20.10.1935 do 31.I.1935 (na zające i inną zwierzynę łowną).

Zespołowych polowań zorganizowało Towarzystwo Myśliwych 8 (raz jeden w danem łowisku), na kuropatwy polowali członkowie na wylosowanych przez siebie obwodach indywidualnie, mogąc ich ubić tylko sztuk 60, tępieniem zaś szkodników zajmowała się przeważnie zaprzysiężona straż łowiecka.

Zwierzyny łownej strzelono zatem razem: zajęcy 335, bażantów 13, kuropatw 452, kaczek 62, kszyków 12, słonek 3, przepiórek 15, drapieżników i szkodników: lisów 3, łasic 6, wron 35, srok 476, jastrzębi gołębiarzy 1, krogulców 6, psów 30, kotów 28.

Dodatkowo komunikujemy, że stan zajęcy był w tym roku słaby, o 40% gorszy, niż w r. zeszłym; ilostan kuropatw spadł o jakieś 20%.

— W dobrach Skępe, powiatu Lipno, własność p. Stanisława Zielińskiego, w 1935 roku ubito następujące ilości zwierzyny oraz drapieżników i szkodników: dzików 1, rogaczy 7, zajęcy 219, królików 69, bażantów 82, kuropatw 523, przepiórek 8, słonek 6, gołębi 2, kaczek 659, bekasów 30, kulików 38, lisów 5, tchórzy 9, łasic 3, psów 56, kotów 70, jastrzębi 137, wron 525, srok 52, czapli 72, łysek 183.

Ostatniej zimy, już w 1936 roku ubito 14 dzików!

— W ubiegłym sezonie myśliwskim Pomorski Klub Myśliwski w Grudziądzu polował na swych terenach leśnych o obszarze około 2300 ha, cztery razy, przeciętnie w 16 strzelb. Ogółem ubito 206 zajęcy, 113 królików, 4 lisy. Polowano przy zmiennych warunkach atmosferycznych z naganką, każdorazowo 40 ludzi liczącą. Jest to, jak na tereny leśne, rezultat dobry, aczkolwiek w stosunku do poprzedniego sezonu nieco gorszy.

Poza wynikiem polowań gremjalnych, ubito w ub. sezonie na podchodnem i podjezdnem danieli łopataczy 3 sztuki, rogaczy 12 sztuk, koźląt sarn 4 sztuki, sarn 8 sztuk, królików 227 sztuk

Zaznaczyć należy, że, oprócz królików, oczywiście były to odstrzały selekcyjne.

Z drapieżników strzelono 7 jastrzębi, 15 wron, — ze szkodników psów 5, kotów 7.

— W dniach 14 i 15 stycznia odbyło się w Izebniach u p. Adama Gorayskiego polowanie na zające, przy udziale pp.: hr. Augusta Krasickiego, gen. Szeptyckiego, mjra Pogorskiego, hr. Potockiego, p. Bobrowskiego, p. Byszewskiego, hr. Mycielskiego i in. Rozkład około 300 zajęcy jest dla tych podgórskich okolic znamiennym rezultatem doskonałego prowadzenia polowania, a zwłaszcza starannej i umiejętnej pieczy o zwierzynę. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał p. Jan z Kościelca-Pogorski.

— W dniach 24 i 25 stycznia b. r. odbyło się w Dołhobyczowie u pp. Zbigniewostwa Walewskich doroczne polowanie, w którem udział wzięli: gen. insp. sił zbr. gen. Edward Śmigły Rydz, inspektor armji gen. Tadeusz Piskor, gen. bryg. Kordjan Zamorski, pułk. dypl. Leon Strzelecki, hr. Konstanty Bniński, p. Marja Horodyska, p. Eustachy Rylski, pp. Romuald i Eustachy Świeżawscy, p. Stanisław Kiełczewski i pp. Seweryn i Tomasz Karscy. — Ogółem ubito, polując na czarnej stopie: 14 dzików, 6 lisów, 2 sarny kozy, 110 zajęcy i 25 bażantów.

— W dniu 31 stycznia r. b. odbyło się polowanie w Boracinie (pow. nowogródzki) własn. p. Mieczysława Tukałły.

W polowaniu tem wzięli udział pp. Wojewoda Sokołowski i Vice-Wojewoda Mioduszewski, — razem 9 strzelb. Pogoda niedopisała. Był silny wiatr i mróz. Jak zwykle w Boracinie, zwierzyny było sporo, organizacja dobra. Ogółem ubito 67 zajęcy i 3 bażanty. Po zakończeniu polowania zawsze gościnni Państwo Tukałłowie podejmowali myśliwych obiadem, w którym wziął udział również p. Starosta Siellawo. Wspólną pogawędką zakończyliśmy ten miły dzień, za co na tem miejscu składamy Gospodarzom staropolskie „Bóg zapłać". *J. S.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Wszystkim zapytującym o nowy mięsno - mączny pokarm dla psów w postaci sucharków „Hadroga".

Sucharki „Hadroga" są zdrowym i trwałym preparatem, zawierającym w odpowiednim stosunku wszelkie składniki odżywcze, jakich organizm psa potrzebuje dla nabrania sił i wzmocnienia kości.

Sucharki te są smaczne, a dzięki domieszce soli fosforowo-wapniowych i innych chemicznych składników uodporniają organizm zwierzęcia na wszelkie choroby.

Zważywszy te zalety sucharków „Hadroga", można twierdzić, że podawanie tej odżywki psom, w szczególności młodym, wywołuje wzmocnienie ich mięśni i kości, a u psów polowych zwiększa ich wytrwałość w pracy.

Nadto należy dodać, że sucharki „Hadroga", domieszane do mleka, czy zupy, stanowią produkt pokarmowy, wystarczający psu na wyprawach myśliwskich w tereny, oddalone od źródeł nabywania świeżego mięsa, kasz, kartofli i t. p. i mało zajmują miejsca w bagażu myśliwego.

TREŚĆ NUMERU.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek - Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus - Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI i FABRYKA AMUNICJI

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17.

Oddziały: Poznań, Br. Pierackiego 12, Lwów, Plac Marjacki 4, Wilno, Wileńska 10.

Poleca: duży wybór strzelb myśliwskich, karabinków i pistoletów pierwszorzędnych fabryk, oraz naboje śrutowe, pistoletowe, rewolwerowe, sportowe kal. 22 i śrut w najlepszym gatunku — własnego wyrobu,

Warsztaty rusznikarskie pod kierownictwem wykwalifikowanych majstrów w Centrali i Oddziałach.

RENDES VOUS

Wytwornego Towarzystwa

w Winiarni Ziemiańskiej

„CAVEAU CAUCASIEN" Jasna 5

Na żądanie Sz. Gości

CHÓR SIEMIONOWA

znany z Polskiego Radja

WYSTĘPY GOŚCINNE

TRIO FERNANDO oraz

HANKA ARSKA, DAISY SCOT

NOWALJE SEZONOWE

Raki eksportowe i t. d.

Dancing do rana

Ceny niskie

„HADROGI"

SUCHARKI DLA PSÓW!



Najzdrowszy żer mięsno odżywczy

z domieszką soli fosfor. wap.

5 kg. — Zł. 6,80
10 „ — „ 13,20
25 „ — „ 31,50

za zaliczeniem

„HADROGA" Wytw. Chem.

Bydgoszcz, ul. Matejki 2.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu sprzedaje odstrzał sarn-rogaczy.

Cena 35 zł. od sztuki.

Bliższych informacyj udziela Dyrekcja telefonicznie (1553) względnie pisemnie.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę porąb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

MYŚLIWI!

NADSYŁAJCIE FOTOGRAFJE DO REPRODUKCJI W „ŁOWCU POLSKIM"

Pracownia wypychania ptaków i zwierząt, oprawa rogów, robienie dywanów i WYPRAWA SKÓR Z WŁOSEM

WIKTORA ŁASTOWSKIEGO

W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 10. Tel. 6-86-78.

OGŁOSZENIE

Kilkadziesiąt rogaczy do odstrzału

w łowiskach dogodnych pod względem dojazdu, zakwaterowania i polowania sprzeda, w cenie 30 zł. sztuka

Dyrekcja Lasów Państwowych w Łucku.

OGŁOSZENIA DROBNE

Dubeltówkę Defourny-Sevrin cal. 12, prawie nową sprzedam. Telefon 9-76-60 godziny cd 16.

Gładkowłosą niemkę, tresowaną, drugie pole, pierwszorzędną aporterkę-sprzedam. J. Ślusarczyk Mościce P. T. Ż. A.

Niemka krótkowłosa „Rola" (po champ. Enno-Lüttichau i Silva-Trebič, zapisana w księgach rodowych czeskich i wielkopolskich, została pokryta 2. V. b. r. psem „Tok"(po Fürst Lüttichau i Diaska-Trebič), importowanym z Czechosłowacji. Zamówienia na szczenięta (suczki tylko dla zawodowych hodowców) przyjmuje w cenie 70 zł. loco hodowla: Wł. Karnkowski kop. Saturn p. Sosnowiec.

Szczenięta Laveracki, po rodzicach wysokiej klasy, z rodowodami, materjał wystawowy i polowy, są do zamówienia, Marszałkowska 149, Inż. Karsch, tel. 518-26.

Szczenięta, wyżły niemieckie ośmiotygodniowe do sprzedania. Telefon 622-21.